02 - 13
ŚWIAT
Historia świata na przestrzeni dziejów oraz w jej aktualnej odsłonie. Analizujemy wydarzenia, które postrzegamy jako momenty przełomowe.

14 - 15
GOSPODARKA
Szeroki kontekst gospodarczy. Interesuje nas wolność i ludzka godność tak w wymiarze ekonomicznym, jak społecznym oraz politycznym.

16
EKOLOGIA
Zielona ekologia czy malowana na zielono? Sprawdzamy, czy myślenie o ekologicznych technologiach nie jest w dużej mierze życzeniowe?

17-19
POLSKA
Wiadomości z kraju - informacje z zakresu polityki, nauki i techniki oraz kultury, a także aktualne komentarze.

NUMER 8/(43)/2023

NOWY ŚWIAT 24

KAŻDY RZĄD POZBAWIONY KRYTYKI JEST SKAZANY NA POPEŁNIANIE BŁĘDÓW

09/(44)/01.08.23

Polityka prorodzinna to znak rozpoznawczy rządu zjednoczonej prawicy.

Deregulacja potrzebna od zaraz

Polityka prorodzinna to znak rozpoznawczy rządu zjednoczonej prawicy. Poczynając od 500+, które zredukowała sferę ubóstwa, przez zmianę orzecznictwa, które zwykło traktować ubóstwo jak patologię i z tego powodu odbierać rodzicom dzieci, bez wyraźnego uzasadnienia. Przykłady można by mnożyć.

Od tej reguły jest jednak niechlubny wyjątek. Chodzi o stawkę VAT na odzież i obuwie dziecięce, której obecny wymiar to 23 proc., co zwłaszcza w przypadku rodzin wielodzietnych stanowi nie lada wyzwanie. Jej obniżenie do 5 proc. stanowiłoby dla 9,5 miliona polskich rodzin przewrót na miarę kopernikańskiego, przy czym mówimy nie tylko o tzw. rodzinach pełnych, ale osobach samotnych, dotkniętych przez życie np. przedwczesną śmiercią współmałżonka, co z reguły powoduje konieczność podjęcia dodatkowej pracy, celem zapewnienia podstawowych potrzeb życiowych, co wyklucza poświęcenie koniecznego czasu dzieciom. Sprawa ma zatem wymiar tyleż praktyczny, co symboliczny, by nie powiedzieć, że ideowy.
Dodajmy od razu, uprzedzając ewentualne pytania, że wyjaśnienia Ministerstwa Finansów w tej kwestii są niezrozumiałe, a nawet niewiarygodne w kontekście decyzji Komisji Europejskiej, która jeszcze w minionym roku dopuściła możliwość obniżenia stawki VAT na odzież i obuwie dziecięce. Tyle że decyzja pozostaje w gestii władz krajów członkowskich i tutaj słowa mijają się z rzeczywistością i to pomimo wielokrotnych deklaracji. Rzecz jasna łatwiej było zapowiedzieć podwyższenie świadczenia 500+ do kwoty 800 złotych, jako że zapisano to w przyszłorocznym budżecie, natomiast obniżenie stawki VAT zredukuje wpływy aktualnie realizowanego budżetu.
Skoro regulacje unijne są znane od 6 kwietnia 2022 r., było doprawdy dość czasu, a by resort finansów podjął stosowne prace, zwłaszcza że załącznik III do dyrektywy VAT UE wymienia precyzyjnie 24 kategorie towarów i usług objętych możliwością zastosowania dwóch obniżonych stawek VAT, wynoszących nawet 5 proc. Dodano do nich odzież i obuwie dziecięce, co oznacza, że nie narażając wpływów budżetu na szwank, wystarczyło wskazać tę ostatnią kategorię. Nie idzie o wybory, chociaż pewnie przy tej okazji rzecz wypłynie, ale o obietnice potwierdzane wielokrotnie przez Prawo i Sprawiedliwość.
Odrębna kwestia to możliwość zastosowania do maksymalnie siedmiu kategorii towarów i usług, stawki niższej, niż owe 5 proc., a nawet jedno zwolnienie - stawkę zerową np. na leki. Nic zatem nie usprawiedliwia i nie tłumaczy stosowania na odzież i obuwie dziecięce podstawowej stawki 23 proc. w miejsce ściśle określonej obniżki; jak to zapisano w załączniku do dyrektywy - nie niższej niż 5 proc. To sformułowanie jest precyzyjne i jednoznaczne. Skoro obniżone stawki objęły foteliki, smoczki czy pieluszki, nie widać wyraźnego uzasadnienia, które by niemowlaki czyniły uprzywilejowanymi względem ich starszego rodzeństwa. W przeszłości obniżone - 8 proc. stawki na odzież i obuwie dziecięce obowiązywały, wobec tego fachowcy z Ministerstwa Finansów powinni wiedzieć, że obniżona stawka nie musi oznaczać mniejszych wpływów do budżetu. Rynek artykułów dziecięcych w Polsce w roku 2020 (jak wynika z badań) zamknął się kwotą 14,49 miliarda złotych. Mówimy zatem o kwotach niebagatelnych. Jeśli założyć, że obuwie i odzież to 20 proc. tego rynku, wpływy do budżetu z tytułu 23 proc. VAT to kwota rzędu 644 milionów złotych.

„Deregulacja potrzebna od zaraz" - ciąg dalszy artykułu na stronie 17

12 OKALECZYLI NASTOLATKĘ, TWIERDZĄC, ŻE JEST TRANSSEKSUALNA
Coraz więcej młodych dziewcząt wierzy, że są mężczyznami. Tymczasem młoda Amerykanka pozywa lekarzy, którzy przeprowadzili u niej zmianę płci, gdy miała 17 lat.

16 STACJE ŁADOWANIA AUT ELEKTRYCZNYCH CO 60 KM – NOWY POMYSŁ BRUKSELI
Rozporządzenie w sprawie infrastruktury paliw alternatywnych (AFIR) zostało zatwierdzone przez Unię Europejską.

19 TO NIE TAK MIAŁO BYĆ – W 79 ROCZNICĘ POWSTANIA WARSZAWSKIEGO
Powstanie Warszawskie nie było - jak to wmawiano Polakom przez dziesięciolecia - chybioną i desperacką próbą zawrócenia biegu historii.

CHIŃSKA WERSJA BIBLII UKAZUJE JEZUSA JAKO BRUTALNEGO ZABÓJCĘ 08
Kościoły protestanckie w prowincji Henan już zostały zmuszone do zastąpienia Dekalogu cytatami z Xi Jinpinga.

WIELKA BRYTANIA ZWIĘKSZA WYDATKI NA ARMIĘ, ALE NIE PRZYWRACA LICZEBNOŚCI WOJSK 11

ZBADAJĄ OBOZY KONCENTRACYJNE NA BRYTYJSKIEJ WYSPIE 13

ŚWIAT

dr Janusz Grobicki – Redaktor naczelny

W klinczu

Postępy ukraińskiej armii na froncie, choć okupione dużymi stratami są symboliczne. Atakującym nie udało się jeszcze, dotrzeć nawet do głównych linii oporu wroga.

Przeszkodą na kierunkach natarcia są rozległe pola minowe i rosyjska kontrola nad przestrzenią powietrzną. Ukraińcy atakują w wielu miejscach w celu rozciągnięcia rosyjskich linii zaopatrzeniowych. Chodzi również o zmuszenie przeciwnika do zaangażowania wszystkich środków i sił, tak aby zredukować jego odwody. Następnym krokiem powinna być likwidacja centrów dowodzenia, centrów logistycznych, a zwłaszcza magazynów amunicji na zapleczu przeciwnika. W ten sposób tkwiący w umocnionych punktach oporu okupanci mieliby zostać pozbawieni uzupełnień, dostaw żywności oraz innych zasobów niezbędnych do trwania na pozycjach obronnych. Ukraińcy bardzo powoli, choć mało skutecznie realizują taki plan. Wielu ekspertów upatruje przyczynę braku przełomu na froncie w niedostatecznym zaopatrzeniu strony nacierającej w artylerię rakietową dalekiego zasięgu oraz w braku lotnictwa, które stworzyłoby osłonę przed atakami śmigłowców Ka-52 na nacierające pojazdy pancerne. Ukraińcy nie dysponują także wystarczającymi środkami do wykonywania przejść w polach minowych. Zamrożeniu frontu sprzyja również brak amerykańskiej zgody na atakowanie przez Ukrainę celów znajdujących się na terytorium Rosji. NATO obawia się eskalacji wojny oraz nieprzewidywalnych reakcji ekipy z Kremla. Być może strach przed takim scenariuszem powstrzymuje Zachód przed dostawami takiej broni, która mogłaby błyskawicznie pokonać agresorów.

Trudno zakładać bowiem, że NATO takimi zasobami nie dysponuje. W amerykańskich mediach pojawia się coraz więcej sygnałów, świadczących o konieczności stworzenia możliwości zawarcia pokoju, nawet na takich warunkach, które będą dalekie od ukraińskich oczekiwań. Z drugiej strony, nadchodząca kampania prezydencka w USA z pewnością będzie eksponować ten problem. Z punktu widzenia państw byłego bloku radzieckiego, takie podejście do rosyjskiego imperializmu jest nie do zaakceptowania. Putin wykorzysta przerwanie walk do odbudowy armii i gdy uzna, że jest gotów – znów uderzy. Tym razem nie tylko w Ukrainę. Zachód nie powinien mieć złudzeń – kremlowskiemu władcy nie wolno ufać. Wielokrotnie dowiódł on, że podpisane traktaty są tylko papierowym świstkiem. Putin nie ma już wyjścia i swoją obłąkańczą wizję odbudowy potęgi Rosji, będzie realizować bez względu na podpisane porozumienia oraz poniesione straty w ludziach i sprzęcie, podobnie jak Hitler – aż do swojej śmierci. Miejmy nadzieję, że wrogie śmigłowce z czerwoną gwiazdą na kadłubach już nigdy bezkarnie nie nadlecą nad polskie domy ...

Autor:
Janusz Grobicki

Chińscy eksperci nie dają swojej marynarce szans na wygraną z USA

Chińscy eksperci nie dają swojej marynarce szans na wygraną z USA Zdjcie: Chiński okręt marynarki wojennej Changbai Shan

Symulacja dotyczyła walki z hipotetycznym przeciwnikiem, nie wymieniono z nazwy ani USA, ani żadnego innego kraju, aczkolwiek przeciwnika nazwano... „niebieskim sojuszem". Można więc z łatwością dopatrzyć się w nim Stanów Zjednoczonych i państw sojuszniczych. Chodziło o ocenę zdolności bojowych w przypadku konfliktu regionalnego wokół Tajwanu albo na Morzu Południowochińskim – czyli w obszarze, do którego Pekin rości sobie prawa, a także w pobliżu takich krajów jak Wietnam czy Filipiny. Zespół badaczy kierowany przez Canxina zauważył jednak, że taki konflikt z dużym prawdopodobieństwem eskalowałby w stronę „wojny totalnej".

Przez ostatnie lata w chińskich stoczniach trwała intensywna praca nad rozwojem niszczyciela rakietowego nowego typu 055. Opracowano między innymi niszczyciel Lhasa, który jest już w służbie chińskiej marynarki. Jego wyporność wynosi 10 tys. ton i uważa się, że przewyższa go jedynie amerykański okręt klasy Zumwalt. Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza zapowiada zwodowanie ośmiu okrętów tego typu w ciągu kilku lat. Dziennik „South China Morning Post" poinformował, że na wyposażeniu chińskiej marynarki wojennej znajduje się obecnie około 50 niszczycieli.

W symulacji założono, że każdy z chińskich okrętów został zaatakowany przez 11 lub więcej pocisków rakietowych oraz trzy torpedy wystrzelone z różnych miejsc (utrudnia to obronę).

Ponadto specjaliści założyli, że „niebieski sojusz wygenerował zakłócenia 30 razy głośniejsze niż sygnał używany do komunikacji przez chińskie okręty wojenne, a zasięg wykrywania chińskich radarów został zmniejszony do mniej niż 60 proc.".

Celem przeprowadzonej analizy było sprawdzenie limitów chińskiej doktryny wojennej, a także posiadanej technologii obronnej oraz uzbrojenia. Był to test strategii przygotowanej na tak zwaną „bitwę na końcu świata", która miałaby być starciem inicjującym wojnę totalną. Symulację przeprowadzono w momencie, kiedy spory terytorialne i kwestia suwerenności Tajwanu doprowadziły do najwyższego od dziesięcioleci ryzyka konfliktu zbrojnego między USA a Chinami.

„South China Morning Post" przypomniał wypowiedź Rodrigo Duterte, byłego prezydenta Filipin, który pod koniec ubiegłego roku stwierdził, że „jeśli miałbym ocenić nieuchronność wojny w skali od 1 do 10, obecną sytuację określiłbym jako 7".

W czasie prezydentury Donalda Trumpa niektórzy urzędnicy Departamentu Stanu USA nazywali spór Stanów Zjednoczonych z Chinami jako „zderzenie cywilizacji", natomiast w 2019 r. określono Chińczyków „pierwszym niekaukaskim głównym rywalem" USA.

Chińskie media przywołują także słowa Hu Xijina, który był redaktorem nacjonalistycznej gazety chińskiej „Global Times", a obecnie pozostaje bardzo aktywny w tamtejszych mediach społecznościowych.

We wpisie na portalu Weibo z 18 czerwca Hu napisał: „Gdyby doszło do wojny między Chinami a Stanami Zjednoczonymi, w której strategiczne interesy obu stron byłyby równie zagrożone, Stany Zjednoczone mogłyby z łatwością zmobilizować swoje siły i zaangażować się w walkę na śmierć i życie z Chinami. Myślę, że w takim scenariuszu Chiny nie mają szans na wygraną".

Na podstawie
La Razón

Zdjęcie:
Chiński okręt marynarki wojennej Changbai Shan

Redakcja

Wydawca

Niezależny Instytut Wydawniczy
ul. Adama Branickiego 18 / 67,
02-972 Warszawa

www.nowyswiat24.com.pl

Redaktor naczelny

dr Janusz Grobicki

Redakcja

Maciej Małek
Dorota Zielińska
Adrian Dąbek
Kamil Goral

ŚWIAT

Czy NATO powinno działać w Azji?

KOLEJNE KRYZYSY ZMIENIAJĄ ROZKŁAD SIŁ W UNII EUROPEJSKIEJ. DAWNI PRZEGRANI SĄ DZISIEJSZYMI ZWYCIĘZCAMI, A TA DYNAMIKA POZWALA JEDNOCZYĆ EUROPĘ – ZAUWAŻA „FOREIGN POLICY".

Litwa, przyjmując rolę tegorocznego gospodarza szczytu NATO, miała nadzieję, że będzie to wyraźny sygnał dla Rosji i Chin, że członkowie paktu pozostają solidarni i silni. To niewielkie nadbałtyckie państwo docenia wagę Paktu - w końcu dwa razy zostało najechane przez Związek Radziecki, niedawno zaś musiało poddać się chińskiemu przymusowi ekonomicznemu, gdy zgodziło się otworzyć u siebie przedstawicielstwo Tajwanu. Zastraszanie przez silniejszych nie jest więc Litwie obce.
To wysyłanie komunikatu o jedności Zachodu oczywiście nie jest pomysłem Litwinów - to jeden ze stałych celów corocznych szczytów NATO. Oprócz tego ważne jest też wzmocnienie partnerstwa czy wspólna ocena kwestii dotyczących światowego bezpieczeństwa. W tegorocznym szczycie wzięli udział przedstawiciele prawie 40 państw, z czego 31 należy do paktu.

Szczyt NATO w Wilnie miał być okazją do podniesienia jeszcze jednej kwestii, która w ostatnim czasie została przesunięta na dalszy plan przez takie priorytety, jak kandydatura Ukrainy albo niezgoda Turcji na włączenie do paktu Szwecji. Ta nowa i bardzo istotna kwestia to strategia Sojuszu w obszarze Indo-Pacyfiku.

Działania w Azji dzielą NATO, jak jeszcze nigdy wcześniej w trakcie jego 74-letniej historii. Sprawa jest kluczowa, bo dotyczy tego, jaki zasięg geograficzny powinien mieć Sojusz i w jaki sposób dobierać partnerów.
Zarzewiem dyskusji był pomysł, który na pierwszy rzut oka wydaje się zupełnie niewinny: otwarcia biura NATO w japońskim Tokio. Gdy 31 stycznia sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg spotkał się z japońskim premierem Fumio Kishidą, wspomniał o możliwości otwarcia biura NATO już w przyszłym roku. Byłoby to pierwsze i jedyne tego rodzaju biuro w Azji, stając się jednocześnie symbolicznym wyrazem wsparcia Sojuszu, bez konkretnych zobowiązań o charakterze militarnym.
W reakcji na słowa sekretarza generalnego zarówno Francja, jak i Niemcy zasygnalizowały, że taka prowokacja wymierzona w Chiny nie jest dobrym rozwiązaniem, przez co pomysł ten przemilczano we wspólnym komunikacie podsumowującym tę wizytę dyplomatyczną.

Niemniej jednak spora część państw członkowskich zgadza się, że obecność NATO na Indo-Pacyfiku jest pożądana. Sojusz przygotowuje umowy o współpracy z czterema państwami w tym regionie, a Chiny stały się tematem poruszanym w nowych odsłonach NATO-wskiej doktryny strategicznej. Pojawiają się jednak wyraźne głosy, że takie działania to zbyt wiele dla założonego w 1949 r. Sojuszu, który miał „trzymać Związek Radziecki z dala, Amerykanów w środku, a Niemców na dole", jak to ujął jego pierwszy sekretarz generalny Hastings Ismay. Tyle że współczesna sytuacja geopolityczna nie jest tak jasna, jak pod koniec lat 40.

Jeden z ambasadorów w Tokio odniósł się do słów Ismaya, ripostując, że dziś **„Rosjanie wchodzą, Amerykanie chcą wyjść, a kto wie, co myślą Niemcy?".**

Wewnętrzne napięcia
Kwestia działań NATO w Azji pojawia się w specyficznym momencie - Stany Zjednoczone, bez wątpienia najpotężniejszy członek Sojuszu, zaczynają myśleć o polityce izolacyjnej. W końcu, po dekadach niekwestionowanej dominacji, stanęły wobec potężnego rywala, jakim są Chiny. Dlatego część amerykańskich sojuszników w NATO wychodzi z założenia, że włączenie Azji w krąg zainteresowań Sojuszu pozwoli na utrzymanie amerykańskiego zainteresowania tym Sojuszem, a w konsekwencji - zapewnienie dalszego bezpieczeństwa na północnym Atlantyku.

Przyjmuje się, że to właśnie ta strategia sprawiła, że na szczycie NATO w 2019 r., czyli za prezydentury Donalda Trumpa, pierwszy raz wspomniano o Chinach jako wyzwaniu dla światowego bezpieczeństwa, a w 2022 r. ostrzeżono w ramach koncepcji strategicznej, że Chiny stanowią „systemowe wyzwanie" dla porządku międzynarodowego. Kampania przed przyszłorocznymi amerykańskimi wyborami prezydenckimi, niedługo nabierze rozpędu. NATO może być w niej swego rodzaju kartą przetargową. Faworytem na kandydata republikanów jest ponownie Donald Trump. Kiedy poprzednim razem sprawował urząd prezydencki, wyrażał się na temat NATO bardzo krytycznie. Argumentował, że Rosja przestała być strategicznym przeciwnikiem USA, a dziś miejsce to zajmują Chiny. Nawet jeśli Trump nie zostanie nominowany w nadchodzących wyborach, to inni republikańscy kandydaci, tacy jak gubernator Florydy Ron DeSantis, mają podobne nastawienie.

O tym kłopotliwym kontekście wspominała podczas wileńskiego szczytu Margarita Šešelgytė, dyrektor Instytutu Stosunków Międzynarodowych i Nauk Politycznych na Uniwersytecie Wileńskim. Podkreśliła, że państwa członkowskie muszą faktycznie podnieść swoje wydatki na obronę do poziomu 2 proc. PKB, czyli zgodnie z NATO-wskim zobowiązaniem. „Jeśli tak się nie stanie, wtedy będziecie zależni od kraju, który będzie miał wybory w 2024 r., a nie jesteśmy pewni, czy Stany Zjednoczone będą skłonne inwestować w bezpieczeństwo europejskie na poziomie, na jakim inwestowały do tej pory" - ostrzegała Šešelgytė.

Stąd pojawienie się coraz bardziej popularnej narracji, że bezpieczeństwo europejskie jest powiązane z bezpieczeństwem azjatyckim. Wygląda jednak na to, że istota tego powiązania opiera się w zaangażowaniu NATO w region Indo-Pacyfiku, które pozwalałoby na utrzymanie zaangażowania Stanów Zjednoczonych w Europie. W innym wypadku USA mogłoby całą uwagę przenieść na Azję.

Ważnym punktem tegorocznego szczytu było ogłoszenie raportu z postępów przygotowywania czterech dokumentów o współpracy partnerskiej z czterema państwami leżącymi na terenie Indo-Pacyfiku, tj. z Australią, Nową Zelandią, Koreą Południową i Japonią. Współpraca ta ma polegać na zwiększeniu liczby wspólnych ćwiczeń wojskowych oraz integracji sprzętu obronnego. To jednak wystarczy, by dać sygnał Chinom, że porozumienia między państwami Zachodu i Indo-Pacyfiku nie ograniczają się do gospodarki.
Obecny na szczycie premier Japonii Fumio Kishida ogłosił Indywidualnie Dostosowany Program Partnerstwa (ITPP), w którym znalazło się 16 obszarów współpracy, między innymi komunikacja strategiczna, cyberobrona, ewakuacje w sytuacjach kryzysowych, przełomowe technologie, zmiany klimatyczne, bezpieczeństwo kosmiczne i morskie oraz kontrola zbrojeń.

Sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg przywitał biorącego udział w szczycie prezydenta Korei Południowej Yoon Suk Yeola słowami: **„To, co dzieje się na Indo-Pacyfiku, ma znaczenie dla Europy, a to, co dzieje się w Europie, ma znaczenie dla Indo-Pacyfiku".**

W odpowiedzi Yoon zapewnił, że Korea Południowa chce wzmacniać współpracę z NATO. Wspomniał także o południowokoreańskim ITPP, w którego ramach ma nastąpić zwiększenie wymiany informacji wojskowych. Australia już zawarła z NATO własny ITPP na początku tego roku, Nowa Zelandia zaś nadal jest na etapie negocjacji zawartości, wiadomo jednak, że cyberobrona i zmiany klimatyczne będą w nim szczególnie istotne.

Rok temu szczyt odbył się w Madrycie. Przyjęto wtedy Koncepcję Strategiczną NATO 2022, w której znalazły się wytyczne dla Sojuszu na następne dziesięć lat. Chiny zostały tam uznane za wyzwanie systemowe.

Teraz widać, że kwestia Chin rzeczywiście okazała się wyzwaniem, ponieważ zaczęła powodować duże napięcie wewnątrz NATO.
Kolejną problematyczną sprawą okazało się włączenie do Sojuszu Ukrainy, czemu sprzeciwia się obecny prezydent USA Joe Biden, bo oznaczałoby to wojnę

„Czy NATO powinno działać w Azji?" - ciąg dalszy artykułu na stronie 4

„Czy NATO powinno działać w Azji?" - ciąg dalszy artykułu ze strony 3

z Rosją. Nie wiadomo jednak, jak do takiego pomysłu podszedłby Donald Trump.
Wydawałoby się, że debata nad nowym biurem NATO w Tokio to zwykłe przepychanki, które nie mają praktycznych konsekwencji, ale są one przejawem poważnego dylematu dotyczącego zasięgu zobowiązań i współpracy sojuszu.

W ostatniej chwili

Do tej pory japoński ambasador w Belgii był także przedstawicielem tego kraju w NATO. Jednak podczas spotkania z sekretarzem generalnym w Tokio 31 stycznia, Kishida opowiedział o planie mianowania nowego ambasadora, który byłby związany wyłącznie z NATO. Stoltenberg poszedł o krok dalej i zasugerował otwarcie w Tokio specjalnego biura, które umożliwiłoby koordynowanie działań NATO i jego czterech partnerów z regionu Indo-Pacyfiku - Japonii, Australii, Nowej Zelandii i Korei Południowej.
W czerwcu, około miesiąca przed wileńskim szczytem, ambasadorowie państw NATO znajdujący się w Tokio zostali zebrani w Danii, w specjalnej placówce ambasady służącej jako „punkt kontaktowy" NATO z Japonią. Już wcześniej „Financial Times" wskazywał, że francuski prezydent Emmanuel Macron jest przeciwny otwieraniu NATO-wskiego biura w Tokio. Jego zdaniem Sojusz powinien koncentrować się tylko na regionie północnoatlantyckim. Wspomniane spotkanie w ambasadzie w Danii miało więc pozwolić na ocenę, jak mocny jest francuski sprzeciw oraz jakie są nastroje wśród pozostałych sojuszników.

Tymczasem francuski ambasador Philippe Setton nie przybył na spotkanie. Oficjalne stanowisko Francji w tej sprawie pozostało nieznane. Jednak Setton skomentował całą sprawę na łamach „Nikkei", mówiąc: „Musimy unikać tworzenia nieporozumień na temat zaangażowania NATO w regionie Indo-Pacyfiku, który nie jest jego geograficznym obszarem kompetencji, a tym samym unikać wysyłania niewłaściwych komunikatów do Chin i partnerów w Azji, którzy nie chcą być zmuszani do opowiadania się po którejś ze stron".
Pozostali ambasadorowie, którzy zdecydowali się przybyć do Danii, w większości opowiadali się za powstaniem tokijskiego biura. **„Istniało poczucie, że ważne jest włączenie biura w Tokio jako części ogólnego pakietu wileńskiego. Francja próbuje odizolować biuro w Tokio, ale jeśli zostanie ono usunięte z pakietu, pomysł ten może być martwy. Bardzo trudno byłoby później ożywić tę kwestię"** - wspomniał jeden z uczestników spotkania.

Zatem w czerwcu kwestia otwarcia tokijskiego biura była jeszcze w projekcie wileńskiego szczytu. Usunięto ją dopiero po ostatniej rundzie negocjacji poprzedzającej szczyt, czyli na początku lipca. Okazało się, że Francja znalazła sojuszników dla swojego sprzeciwu. Były nim Niemcy. Nie wiadomo do końca, dlaczego w ostatniej chwili Niemcy zdecydowały się na zmianę zdania. Trudno zdobyć jakieś wyjaśnienie od berlińskich urzędników, którzy - jeśli w ogóle - mówią tylko o potrzebie dłuższego zastanowienia nad takim posunięciem.

Czy Francja woli Chiny?

Warto zauważyć, że sprzeciw Francji nastąpił po wizycie Macrona w Pekinie. Witano go tam czerwonym dywanem. W wywiadzie udzielonym podczas wizyty w Chinach francuski prezydent powiedział: „Pytanie, na które Europejczycy muszą sobie odpowiedzieć, jest następujące: czy w naszym interesie jest przyspieszenie w kwestii Tajwanu? Nie. Najgorszą rzeczą byłoby myślenie, że my, Europejczycy, musimy stać się naśladowcami w tej kwestii i brać przykład z agendy USA i chińskiej przesadnej reakcji". Zamiast tego, jak twierdzi prezydent, Europejczycy muszą się obudzić. „Naszym priorytetem nie jest dostosowywanie się do agendy innych we wszystkich regionach świata" - zaznaczył.

Konsultacje dotyczące otwarcia tokijskiego biura były prowadzone z przedstawicielami wszystkich państw członkowskich, także Francji, ale odbywały się na szczeblu urzędniczym. Dopiero reakcja prezydenta wywołała tak poważny sprzeciw Francji. Rzecznik francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych, który na konferencji 6 lipca został zapytany o nagły sprzeciw Francji w sprawie NATO-wskiego biura w Japonii, odpowiedział: „Jak wiecie, istnieją już ambasady odpowiedzialne za stosunki między NATO a Japonią, które w pełni popieramy i które są przedmiotem dyskusji z naszymi partnerami i sojusznikami".

Japonia jest sfrustrowana takim zachowaniem Francji. Jeden z japońskich dyplomatów wypominał: „Nigdy nie dzielą się wynikami najważniejszych spotkań z innymi członkami G7. Na przykład Japonia informuje Francję o swoich spotkaniach z Chinami, zarówno przed jak i po ich zakończeniu. Ponieważ Francuzi tego nie robią, wszyscy nabierają podejrzeń co do tego, o czym rozmawiali za zamkniętymi drzwiami".
Chwilę przed wileńskim szczytem Japończycy przestali jednak naciskać na utworzenie biura w Tokio. To dlatego, że Stany Zjednoczone, które wyrażały największe poparcie dla Japonii, zaczęły podejmować dialog z Chinami w celu ocieplenia wzajemnych stosunków. Sekretarz stanu Antony Blinken, sekretarz skarbu Janet Yellen i wysłannik ds. klimatu John Kerry w ciągu miesiąca odbyli trzy wizyty w Chinach. Kolejni amerykańscy wysłannicy mają pojawić się tam niebawem.

„Stany Zjednoczone prawdopodobnie dostrzegają szansę w relacjach z Chinami w okresie poprzedzającym styczniowe wybory na Tajwanie" - skomentował ten obrót spraw Ken Jimbo, profesor stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Keio.

Wybory prezydenckie oraz wybory parlamentarne odbędą się na Tajwanie 13 stycznia 2024 r. Będą o tyle interesujące, że sprawujący władzę od siedmiu lat roku prezydent Tsai Ing-wen nie może ubiegać się o kolejną kadencję. Chiny liczą na silny wynik partii opozycyjnej, co umożliwiłoby zmianę perspektywy politycznej i zbliżenie wyspy do rządu w Pekinie.
„Wierzymy, że do tego czasu Chiny nie zrobią nic drastycznego, co mogłoby negatywnie wpłynąć na wybory na Tajwanie" - powiedział Jimbo.

Sprawa jest jeszcze bardziej interesująca przez to, że po tajwańskich wyborach rozpocznie się sezon wyborczy w Stanach Zjednoczonych. Nastawienie wobec Chin będzie z pewnością ważnym elementem kampanii każdego kandydata. Może oznaczać to także zamknięcie okna dyplomacji między tymi krajami. Takie geopolityczne perspektywy oznaczają, że dla NATO przyjdzie trudny czas po wyborach na Tajwanie. **„Jeśli w wyborach na Tajwanie zwyciężą siły antychińskie, reakcja gniewu Chin może być tak poważna, że biuro łącznikowe nie będzie miało dla nikogo znaczenia" –** powiedział „Nikkei" jeden z europejskich dyplomatów. Próba poprawy relacji z Chinami, jaką podejmuje teraz administracja Bidena, może być więc środkiem prewencyjnym przed realizacją takiego scenariusza.

W przyszłym roku szczyt NATO zaplanowano na 9-11 lipca w Waszyngtonie. Będzie to też pierwszy szczyt z nowym sekretarzem generalnym. Będzie to z pewnością gorący moment, zarówno dla NATO, jak i Stanów Zjednoczonych stojących przed wyborami prezydenckimi. Rywalizacja prezydencka przed wyborami w USA może też ujawnić, jakie nastawienie w sprawie NATO mają amerykańscy wyborcy. **„Amerykanie zdecydowanie byli sfrustrowani polityką zagraniczną Stanów Zjednoczonych, która była zbyt ambitna na Bliskim Wschodzie i dążyła do przekształcenia regionu w sposób, który, jak się dowiedzieliśmy, był po prostu niemożliwy. Ta debata wciąż ma duży wpływ na nasze postrzeganie NATO" –** powiedział Kenneth Weinstein, przewodniczący ds. Japonii w Hudson Institute w Waszyngtonie. SourceNikkei Asia

Na podstawie
Nikkei Asia

UE chwali się przed ONZ w Nowym Jorku postępem we wdrażaniu Agendy 2030

Zdjęcie: gov.pl

Przedstawiony przegląd rozpoczyna się podkreśleniem tego, jak mocno i jednoznacznie Unia Europejska zaangażowała się w Agendę 2030 i określone w jej ramach Cele Zrównoważonego Rozwoju. Przedstawiony raport to „przegląd tego, w jaki sposób wewnętrzne i zewnętrzne działania UE" wpływają na realizację przyjętego planu.

Według raportu Komisja Europejska realizuje Agendę 2030 „z perspektywy administracji, włączając cele zrównoważonego rozwoju do wszystkich propozycji i strategii politycznych". Wspomniano między innymi o Europejskim Zielonym Pakcie - tym samym, przez który wielu producentów musiało zamknąć interes, ponieważ narzucone warunki nie mogły być przyjęte. To w ramach tego paktu opracowano tak kontrowersyjne przepisy, jak ustawa o przywracaniu przyrody.

W raporcie zaznaczono, że zarówno unijne instytucje, jak i krajowe rządy (choć oczywiście nie dotyczy to tych, które uparcie bronią swej suwerenności), a także społeczni partnerzy „odgrywają ważną rolę w osiąganiu celów zrównoważonego rozwoju". Chodzi o cele, które ONZ przyjęło już w 2015 r. To, co określono jako „zrównoważony rozwój", wygląda jednak bardziej na „globalne zarządzanie" - zwiększenie państwowej kontroli i ograniczenie jednostkowych wolności, które w jakiś niejasny sposób mają być walką ze „zmianami klimatycznymi".
Te dobrowolne przeglądy wdrażania Celów Zrównoważonego Rozwoju, których charakter został uzgodniony przez wszystkie strony Agendy, mają stymulować realizację globalistycznego planu poprzez dzielenie się postępami i posunięciami.

Według Unii Europejskiej takie „dobrowolne przeglądy stanowią podstawę regularnych przeglądów Forum Politycznego Wysokiego Szczebla pod auspicjami Rady Gospodarczej i Społecznej ONZ", a „wszystkie 27 państw członkowskich UE przedłożyło ONZ dobrowolne przeglądy krajowe".
Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen powiedziała ostatnio, że „dobrowolny przegląd UE podkreśla, w jaki sposób włączamy cele zrównoważonego rozwoju do naszej polityki. Nasza determinacja w dążeniu do realizacji celów zrównoważonego rozwoju jest niezachwiana".

Na podstawie:
La Gaceta

ŚWIAT

Dwa rosyjskie obozy odmiennie postrzegają sytuację kraju

MNOŻĄ SIĘ OZNAKI ROZPADU „KONSENSUSU PUTINOWSKIEGO" – PISZE FRANÇOISE THOM, FRANCUSKA HISTORYCZKA I BYŁA WYKŁADOWCZYNI NA PARYSKIEJ SORBONIE.

Polityka dążąca do oderwania się od Europy powoduje podziały między dwiema grupami rosyjskich elit. Już nie zgadzają się ze sobą bezwarunkowi putiniści popierający „zwrot ku Chinom" i wyedukowani historycznie „systemowi liberałowie", rozumiejący, że bez Europy Rosja utraci jakiekolwiek znaczenie.

Dwa obozy

Nieugięci zwolennicy Putina napotykają na sprzeciw ze strony „systemowych liberałów" i „inteligentnych imperialistów". Ci ostatni są świadomi, że reżim zmierza ku katastrofie. Do tego obozu należą notable, nawet niektórzy oligarchowie. Szerzej informuje o tym zjadliwy krytyk Putina, politolog Walery Sołowiej. Musi cieszyć się dużą opieką osób na wysokich stanowiskach, skoro bezkarnie publikuje na YouTube filmy, w których donosi, że wielu oficerów Federalnej Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej (FSB) jest niezadowolonych z polityki prezydenta. Uważa przy tym, że to właśnie FSB jako jedyna może uwolnić Rosję od obłąkanego dyktatora.

Ten drugi obóz uważa, że wojna w Ukrainie musi jak najszybciej się zakończyć i że Rosja powinna pracować nad zniesieniem sankcji, rozmawiając o tym z Zachodem. Obecnie nawet na rosyjskim YouTube dawni zwolennicy inwazji na sąsiednie państwo, tacy jak Konstantin Zatulin, pierwszy wiceprzewodniczący komitetu Dumy odpowiedzialny za kwestie WNP, integrację euroazjatycką i stosunki z rodakami, zauważają, że żaden z deklarowanych celów nie został osiągnięty. Dostrzegają już, że Rosja nie ma wystarczających sił, aby zwyciężyć przy tak szerokim wsparciu, jakie otrzymuje napadnięte państwo. Zatulin proponuje więc powrót do polityki dywersji: „Musimy zaproponować inną drogę, inteligentną propagandę, poprawne zachowanie, lepszy stosunek do tych, którzy znaleźli się na naszym terytorium" – radzi. Dołącza do niego Aleksandr Kolpakidi, historyk służb specjalnych, dawniej gorący zwolennik „wykorzenienia faszyzmu na Ukrainie". Krytykuje ostro tych, którzy grożą Zachodowi uderzeniem nuklearnym: „Wierzę, że na Zachodzie nie znajdziemy łajdaków, którzy chcą zniszczyć planetę. Zastanawiam się, czy ci, którzy wygłaszają takie uwagi, zdają sobie sprawę z tego, co mówią, czy też całkowicie postradali zmysły. Są całkowicie szaleni [...]. Planują pójść do nieba ze swoimi kochankami, nieślubnym potomstwem i brudnymi pieniędzmi! [...] Czy oni wyobrażają sobie, że te wszystkie groźby nuklearnej apokalipsy nie pozostawią po sobie śladu i zostaną zapomniane? [...] Jak mogło do tego dojść? W czasach sowieckich wskazywaliśmy drogę naprzód, budowaliśmy nowy świat, a teraz jak wyglądamy? Nie jesteśmy już dla nikogo wzorem. Problem polega na tym, że dla dużej części narodu ukraińskiego nasz kraj nie jest ideałem. Jesteśmy mistrzami tylko w kradzieży i kłamstwach [...]. Nasza polityka oscyluje między idiotycznymi groźbami a wyraźną chęcią negocjowania pokoju. [...] Przez 23 lata mówiono nam, że mamy najpotężniejszą dyplomację na świecie, że gospodarka może pozostawiać wiele do życzenia, ale jeśli chodzi o sprawy zagraniczne, jesteśmy nie do pobicia. Teraz musimy rumienić się nawet przed Chińczykami, którzy nigdy nie spodziewali się takiego obrotu spraw".

Jeszcze bardziej krytyczny jest Boris Nadieżdin, dyrektor Instytutu Projektów Regionalnych i Legislacji. Uważa i głośno o tym mówi, że trzeba odbudować normalne stosunki z Europą. Widzi jednak, że w obecnym reżimie politycznym Rosja nie ma możliwości powrotu do Europy. „Wszystko, co musimy zrobić, to wybrać innego prezydenta, który zbuduje normalne stosunki z krajami europejskimi. I wszystko wróci na swoje miejsce. Wybory prezydenckie odbędą się w przyszłym roku. Nic więcej nie powiem" – zaznacza.

Trudna prawda

Rosyjskie elity zostają stopniowo zmuszane do mierzenia się z twardą rzeczywistością. Odcięta od Europy rosyjska gospodarka kurczy się i więdnie. Nawet oligarchowie i bogaci Rosjanie nie mogą się już w pełni cieszyć swoimi fortunami. Odcięci zostali od swoich europejskich rezydencji, jachtów, nie mogą spędzać wakacji w wielu atrakcyjnych miejscach.

Françoise Thom zauważa, że także „aparatczycy średniego szczebla z nostalgią wspominają czasy sprzed 24 lutego 2022 r., kiedy mogli robić zakupy w Mediolanie i wygrzewać się na słońcu w Cannes. Widzą, że zwrot ku Chinom był niebezpieczną iluzją, a Pekin zamierza wykorzystać osłabionego partnera. Co gorsza, dostrzegają, że sankcje poważnie wpłynęły na zdolności wojskowe Rosji". Rosjanie na ogół zdają sobie sprawę z faktu, że ich kraj jest zależny od Europy. Jeśli wierzyć Sołowiejowi, ten drugi obóz – rodząca się „partia pokojowa" – jednomyślnie uważa, że zawieszenie broni nie jest możliwe, dopóki Putin jest u władzy. Jednak w zasadzie nikt z nich nie rozważa oddania Krymu Ukrainie, a tylko nieliczni są gotowi powrócić do granic sprzed 24 lutego.

Putiniści kontratakują

Najzagorzalsi putiniści nie odpuszczają nawet w obliczu niekorzystnych dla ich kraju faktów. Sam Putin szybko powrócił na forum publiczne, po tym, jak Prigożyn przyćmił go w wiadomościach. Wzbudziło to spory niepokój przywódcy Rosji. Opublikowany 13 czerwca artykuł Siergieja Karaganowa „Trudna, ale niezbędna decyzja" jest swoistym manifestem dla zagorzałych zwolenników rosyjskiego prezydenta i jego twardego stanowiska. Autor uważa za niezbędny powrót Ukrainy na orbitę Rosji. Równocześnie byłby to tylko pierwszy etap ogromnego procesu redystrybucji władzy wśród światowych elit. Według niego pierwszej fazie powinno towarzyszyć wypędzenie Amerykanów z Europy i ustanowienie rosyjskiej hegemonii od Atlantyku po Ural. Ale od kiedy Zachód się skonsolidował, Karaganow powrócił do dawnej radzieckiej ideologii i retoryki. Krzyczy obecnie o „zaostrzeniu w skali globalnej walki klasowej" z Rosją, Rosją wskazującą drogę do emancypacji narodom, które cierpiały z powodu „500 lat zachodniego wyzysku". Jest to przeróbka tezy Stalina mówiącej, że opór klas potępionych przez historię stawał się coraz bardziej zaciekły wraz z sukcesami socjalizmu.

Karaganow w sytuacji, która obecnie jest związana z Ukrainą, widzi dla Rosji jedno tylko wyjście – podporządkować sobie ludzi Zachodu, by przestali pomagać Kijowowi. Tyle że Zachód przestał już bać się Rosji, ale putinista twierdzi, że: „Wróg musi wiedzieć, że jesteśmy gotowi do wyprzedzającego uderzenia odwetowego za wszystkie jego obecne i przeszłe agresje, aby zapobiec ześlizgnięciu się w kierunku globalnej wojny termojądrowej. [...] Wielokrotnie mówiłem i pisałem, że jeśli opracujemy dobrą strategię odstraszania, a nawet użycia broni nuklearnej, ryzyko odwetowego uderzenia nuklearnego, a nawet jakiegokolwiek innego uderzenia na nasze terytorium, może zostać zminimalizowane. Tylko jeśli w Białym Domu zasiądzie szaleniec, który

"Dwa rosyjskie obozy odmiennie postrzegają sytuację kraju" ciąg dalszy artykułu na stronie 6

“Dwa rosyjskie obozy odmiennie postrzegają sytuację kraju” ciąg dalszy artykułu ze strony 5

w dodatku nienawidzi swojego kraju, Ameryka zdecyduje się uderzyć w »obronie« Europejczyków, doprowadzając do odwetu i poświęcając na przykład Boston na rzecz Poznania. Lecz co się stanie, jeśli się nie wycofają? Co, jeśli całkowicie stracą instynkt samozachowawczy? Wtedy będziemy musieli uderzyć w grupę celów w wielu krajach, aby przywrócić rozsądek tym, którzy stracili rozum”. Karaganow chce tego w imię „promiennej przyszłości”, w której Rosja schroni się za plecami Chin, oczekując od świata wdzięczności za ogromną przysługę uwolnienia go od odwiecznego ucisku Zachodu.

„Tak więc proces różnicowania, który zaczynamy obserwować w Rosji, odbywa się między tymi, którzy podzielają urojoną wizję rosyjskiego prezydenta i próbują ją scementować ideologicznymi konstrukcjami wywodzącymi się z kojarzenia sowietyzmu i słowianofilskiego mesjanizmu, godząc się na wasalizację przez Chiny, a tymi, którzy trzymają się ziemi i nadal są w stanie odróżnić przyczynę od skutku” – zauważa Françoise Thom. Prigożyn i jego działania pasują bardziej do tej drugiej grupy. Warto też zauważyć, że i pierwsza grupa nie jest do końca jednomyślna: podczas gdy wszyscy pragną doprowadzić kraj poprzez wojnę totalną aż do zwycięstwa, to nie wszyscy godzą się z grożeniem światu bronią nuklearną.

Różne koncepcje imperium

Nie ma co się oszukiwać – twierdzi francuska historyczka. „Krytycy polityki zerwania z Europą nie są bynajmniej nawróceni na europejską liberalną demokrację. Ich stanowisko pokazuje nam, że nie wyciągnęli rzetelnych wniosków z dzisiejszej tragedii. Istnieje przepaść między potępieniem Putina za jego zbrodnie – co doprowadziłoby do gruntownego zakwestionowania całej polityki Kremla od 2000 r. – a rozczarowaniem spowodowanym niepowodzeniami poniesionymi w ciągu ostatnich szesnastu miesięcy i frustracją spowodowaną izolacją Rosji. Nie zapominajmy, że nawet turbopatrioci nie przebierają w słowach, mówiąc o niezdolności Putina do pełnienia roli głównodowodzącego” – pisze w swojej analizie Thom. Już stosunek „partii pokoju” do kwestii ewakuacji terytoriów ukraińskich pokazuje, że tak naprawdę nie zerwali z putinizmem. Według nich należy zmienić osobę u steru Rosji, ponieważ polityka zagraniczna nie jest skuteczna, gdy prezydent pozostaje nieusuwalny, jak to jest w przypadku Putina. Dla nich to kwestia przywrócenia potęgi gospodarczej i możliwości bogacenia się poprzez sprzedaż węglowodorów do Europy oraz przyciągnięcie inwestycji i technologii ze Starego Kontynentu, co też umożliwiłoby modernizację armii i wzmocnienie kraju.

To odmienna koncepcja imperium niż ta putinistów. Kreml ma obsesję na punkcie spadku demograficznego kraju. Bez dużej liczby ludności imperium nie może przecież istnieć. Bez Ukrainy „Rosja jest tułowiem bez rąk i nóg”, jak powiedział kiedyś Igor Girkin. W 2021 r. ultranacjonalistyczny pisarz Zachar Prilepin podkreślił korzyści demograficzne wynikające z aneksji Donbasu. „W 2020 r. liczba ludności Rosji spadła o 500 tys. Jeśli Rosja przejmie republiki Doniecką i Ługańską, nadrobimy wszystkie straty z zeszłego i tego roku i zwiększymy naszą populację. To cztery miliony nowych Rosjan” – powiedział wówczas. Sama koncepcja polityki imperialnej Putina sięga XVI wieku. Zakłada ona tworzenie garnizonów na podbitych terytoriach lub na obrzeżach imperium, z myślą o przyszłych podbojach i ekspansji. Historyczka daje tu za przykład Kozaków zaporoskich, którzy zostali przeszczepieni na Kubań przez Katarzynę II i wykorzystani do podboju i podporządkowania Kaukazu. Obecnie to pokonani przez Putina w 2005 r. Czeczeni są rozmieszczani na Ukrainie, by służyć jako janczarzy dla władz okupacyjnych. Z kolei mężczyźni z zaanektowanego przez Rosję Donbasu są wysyłani na front w takiej liczbie, że Donbas stał się „regionem bez mężczyzn”. Z takiej anachronicznej perspektywy Ukraina ma stać się rezerwuarem przyszłych żołnierzy dla „rosyjskiego świata”. Dowodem na takie myślenie jest m.in. porywanie ukraińskich dzieci i ich systematyczna rusyfikacja.

Nie byłoby imperium bez Europy

Rosja ma też inną koncepcję imperialnej ekspansji. Zakłada ona współpracę z krajami europejskimi. Wykształceni Rosjanie zdają sobie bowiem sprawę z tego, że imperium rosyjskie zostało zbudowane jako wielka potęga dzięki wkładowi wielu Europejczyków. Za Piotra Wielkiego setki holenderskich i angielskich stoczniowców budowały rosyjską flotę. Nie Rosjanką, a Niemką była przecież caryca Katarzyna II, ta, za której panowania Imperium Rosyjskie przeszło niesamowitą fazę ekspansji. Niemcy bałtyccy dostarczali nieocenionych kadr dla rosyjskiej armii i administracji. Przypadek ukraińskich prowincji, do których obecnie rości sobie prawa Putin, pokazuje korzyści, które dawniej czerpała Rosja z zaangażowania europejskich elit do budowy imperium. W 1803 r. car Aleksander I mianował księcia Richelieu gubernatorem Odessy po tym, jak ten uciekł z Francji przed rewolucją. Historyk Alfred Rambaud tak pisze: „W 1805 r. [car] mianował go gubernatorem generalnym Nowej Rosji, tj. regionu rozciągającego się od Dniestru do Kaukazu; obejmował on regiony Odessy, Charkowa, Chersonia, Jekaterynosławia, Krymu, Kubania i wybrzeża Kaukazu.

Było to całe imperium, to samo, nad którym Richelieu widział Potiomkina panującego z pompą i nonszalancją orientalnego despoty, a którym teraz zamierzał rządzić z prostotą, aktywnością i uczciwością europejskiego administratora, wychowanego na doktrynach ekonomicznych i filantropijnych ideach XVIII-wiecznej Francji; tam, gdzie jego poprzednik zachował tradycje i zwyczaje Azji, zamierzał wprowadzić cywilizację Zachodu.

Podążając śladami Katarzyny, Richelieu wezwał francuskich kolonistów, głównie z Alzacji oraz niemieckich kolonistów, głównie z Wirtembergii. Niepokoje w Imperium Tureckim przysłały mu Greków, Rumunów, Bułgarów, Ormian [...] chronił [Tatarów krymskich] przed podejrzeniami rządu rosyjskiego; podczas wojny toczonej wówczas przeciwko Turkom, wyobrażał sobie doprowadzenie Tatarów do impotencji poprzez odebranie im koni. Byłaby to ruina tych populacji. Można zobaczyć, jak gorąco Richelieu błagał o ich sprawę generała Wiazmitinowa, ministra wojny”. W czasie wojny rosyjsko-tureckiej w 1810 r. „Richelieu uzyskał od swojego rządu obietnicę, że handel nie zostanie przerwany; wykazał, że zboże, którego Odessa nie będzie już eksportować, zostanie przywiezione do Konstantynopola przez statki innych narodów; że wśród tureckich poddanych ucierpią na tym przede wszystkim chrześcijanie; że będzie to tylko sucha strata dla rosyjskiego handlu, bez żadnej politycznej rekompensaty. Przez większość wojny, podczas gdy walki toczyły się na Dunaju, kupcy z obu imperiów spokojnie handlowali w porcie w Odessie”.

Richelieu jednak ostatecznie zwątpił w swoje możliwości działania. Tak pisał do siostry w lutym 1811 r.: „Biedna Odessa! Biedny kraj nad brzegiem Morza Czarnego, gdzie miałem nadzieję uczynić moje imię chwalebnym i trwałym! Obawiam się, że popadną z powrotem w barbarzyństwo, z którego dopiero co wyszli. Cóż to była za chimera, że chciałem budować w stuleciu ruin i zniszczenia, że chciałem założyć dobrobyt kraju, gdy prawie wszystkie inne są sceną nieszczęść, które, jak się obawiam, wkrótce nas dosięgną!”. Richelieu obawiał się, że imperialistyczne ambicje Rosji, główna przeszkoda na drodze do rozejmu z Turcją, wszystko zepsują i błagał cara Aleksandra o szybki pokój z Konstantynopolem. „Turcy nigdy nie zgodzą się na pokój na warunkach, których żądamy. Jeśli będziesz postrzegany jako silny i wolny od wszelkich kłopotów, Francja będzie cię szanować, a Austria i Prusy odzyskają trochę zaufania” – apelował do władcy. Rambaud ostatecznie tak podsumował działania księcia Richelieu: „Chociaż dokonał swoich podbojów nie przeciwko wrogowi, ale na pustyni, zasługuje na miejsce wśród tych, którzy uczynili imperium wielkim. Dwa z ośmiu uniwersytetów monarchii, w Odessie i Charkowie, powstały dzięki niemu. Ten Francuz był jednym z największych rosyjskich mężów stanu”.

Dziś jest inaczej

Ta historia stanowi duży kontrast z tym, co dzieje się obecnie na terytoriach okupowanych. Co zaskakujące, nawet fanatyczni dotychczas patrioci zaczynają mieć wątpliwości co do korzyści, które „nowe terytoria” odniosą z integracji z Rosją. Bloger Maxim Kałasznikow niezwykle szczerze opisał swoje spotkania z mieszkańcami Donbasu w ich zrujnowanych wioskach. Jedną z nich jest Toczka, która została ostrzelana przez rosyjską artylerię. Niegdyś miejscowość ta liczyła 4 tys. mieszkańców, a teraz ma ich zaledwie 170, z czego 60 jest bezrobotnych. Jeden z nich zapytał blogera: „Od czego nas wyzwoliliście? Nasze domy? Nasze miejsca pracy? Nasze życie?” Rzeczywiście, przyznaje Kałasznikow, „nie ma elektryczności, gazu, kanalizacji. Nie ma środków do życia. Pomoc humanitarna dociera raz w miesiącu... Aby otrzymać dokumenty, trzeba mieć rosyjski paszport, ale jak to zrobić? Nie ma fotobudek. Ludzi nie stać na taksówkę do miasta. My ich nie uwalniamy, my ich karzemy. Mówimy im: wszystko jest zaminowane, a my nie mamy środków, by usunąć miny. Ludzie przechodzą przez piekło w strefie apokalipsy. Jeśli tak dalej pójdzie, wszyscy uciekną od Rosji jak od zarazy. Nie można prowadzić wojny w ten sposób. Zamiast wyzwolonych terytoriów zostawiamy spaloną ziemię”. Kałasznikow opisuje pijaństwo, bójki i grabieże, gdy rosyjscy żołnierze zabierają ocalałym ich niewielki dobytek. „Krótko mówiąc: co ze sobą przywieźliśmy? Czym chcemy zastąpić eurointegrację, liberalny model, który istnieje na Ukrainie? Jaki jest cel tej wojny?” – pyta.

Europejczycy tymczasem nie tylko pomogli carom uporządkować i administrować ich imperium, ale też sformułować imperialną ideologię. To oni przyczynili się do rosyjskiej ekspansji w Europie. Niezwykłą analizę sposobu, w jaki imperium rosyjskie rozszerzyło się dzięki „moralnemu lub materialnemu współudziałowi Europy” przeprowadził, żyjący w XIX wieku francuski obserwator Rosji Germain de Lagny. Twierdzi, że to Europejczycy otworzyli „wszystkie drogi, których sama Rosja z pewnością nie byłaby w stanie spenetrować [...]. Znajdujemy Rosję w zmowie z jakimś innym państwem, pomagającą i zachęcającą do realizacji swoich ambitnych projektów. Jeśli Niemcy obawiają się dziś siły i potęgi Rosji, to właśnie Niemcy zrobiły najwięcej, aby promować szybki wzrost tego północnego giganta”. Lagny przytacza też inne przykłady. Według niego Austria wpadła na pomysł rozbioru Polski w (płonnej) nadziei odwrócenia uwagi Rosji od Krymu i prowincji naddunajskich (1772). Aby uspokoić cara Aleksandra I Napoleon „nakarmił go Finlandią”: Finlandia została odebrana Szwecji w 1809 r. Jego tezę potwierdza też pakt Ribbentrop-Mołotow: to Niemcy zaoferowały Stalinowi prowincje bałtyckie. Historia Rosji udowadnia, że Europejczycy byli niezbędni dla utrzymania, stabilności i ekspansji imperium. Jak pisze Lagny, „wszędzie i zawsze Rosja czerpała pomoc od swoich sąsiadów”. Tę gorzką prawdę uświadamia sobie dziś część współczesnego rosyjskiego establishmentu. Rozumieją, że putinowska polityka zerwania z Zachodem podkopuje fundamenty rosyjskiej potęgi, a taka świadomość popycha tę grupę do działania i mniej lub bardziej ukrytych prób ugłaskania zachodnich elit.

Imperializm nie zniknie wraz z Putinem

„Stałą cechą rosyjskiej historii jest to, że względy władzy państwowej zawsze przeważają” – zauważa Françoise Thom. Bez względu więc na zwroty akcji „systemowi liberałowie” ponownie znajdą się u władzy i wyznaczą granice przyszłej deputinizacji Rosji. Można przypuszczać, że pójdzie za tym potępienie kultu jednostki, odwilż wraz z uwolnieniem więźniów politycznych i powrót do dialogu na temat kontroli broni strategicznej. Jednak ktokolwiek nastąpi po Putinie, będzie usiłował zachować dźwignię władzy Kremla, kontrolę przepływów finansowych i centralizację zasobów. Jego cele też się nie zmienią. Nadal będzie to dążenie do zniszczenia narodu ukraińskiego i miękkiego podporządkowania sobie Europy. „Miejmy nadzieję, że Europejczycy nie zapomną lekcji straszliwej wojny rozpętanej przez Moskwę w celu dominacji nad Ukrainą i Europą i nie pospieszą z powrotem, by służyć niezmienionym ambicjom Kremla” – podsumowuje swoją analizę francuska historyczka.

Na podstawie

Desk Russie

ŚWIAT

Postęp jako podróbka historii zbawienia

IDEA POSTĘPU WYMYŚLONA ZOSTAŁA W EUROPIE, W EPOCE OŚWIECENIA. JAK WIELE INNYCH WYNALAZKÓW EUROPEJSKICH, W RODZAJU WOLNOŚCI, RÓWNOŚCI I BRATERSTWA, MA ONA SWÓJ WZÓR WEWNĄTRZ CHRZEŚCIJAŃSTWA, O CZYM NIE ZAWSZE WIEDZĄ DZISIEJSI WYZNAWCY POSTĘPU.

Dzieje Europy to wyjąwszy starożytność grecko-rzymską dzieje chrześcijaństwa, to jest tego, jak trudne orędzie Ewangelii z najrozmaitszymi pomyłkami było adaptowane do życia gospodarczo-społecznego i publicznego, w połączeniu zarówno ze spuścizną grecko-rzymską, jak i barbarzyńską tradycją plemion celtyckich, germańskich, słowiańskich, bałtyckich i ugro-fińskich. Pośród tego swoistego labiryntu zastosowań oraz pomyłek znalazła się idea postępu - charakterystyczna dla świata biblijnego, a gdzie indziej zupełnie nieznana światu idea ukierunkowania czasu na oczekiwanie przyjścia mesjasza oraz stopniowe wprowadzanie zbawienia. Ta idea na trwałe zadomowiła się w świecie Europy, przy czym dosyć prędko uległa wynaturzeniu, polegającym z jednej strony na samozadowoleniu, iż feudalny system średniowieczny uznano za analogiczny dla znanego hasła Fukuyamy „koniec historii", zaś odtąd ziemski okres społecznego przygotowania zaczątków zbawienia jest zakończony, a jedyne co pozostało, to indywidualna troska o to, by po śmierci trafić do nieba. Cała ta narracja jest niezgodna z Ewangelią, choć była przedstawiana jako jej urzeczywistnienie. Fałszerstwo jednak było widoczne dla myślicieli Europy i stąd pojawił się pomysł Oświecenia, gdzie wzięta z Biblii idea postępu zostaje urzeczywistniona w kolejnym orędziu w stylu Fukuyamy, to jest końcu historii w wydaniu idealnego państwa, rozwiązującego problem zła i zapewniającego wieczną szczęśliwość. W jakimś sensie prawdziwy Francis Fukuyama w roku 1989 to był jedynie awatarem swego prawdziwego poprzednika z epoki Rewolucji Francuskiej oraz myśli Hegla realizowanej w państwie pruskim, gdzie znajdują się korzenie dzisiejszej europejskiej wiary w państwo jako zbawiciela. Ta wiara nadal ma się w Europie dobrze, kieruje wpływowymi elitami Zachodu, a w Europie Środkowo-Wschodniej gromadzi ludzi „nowoczesnych", kierujących się na wpół religijną wiarą w idee lewicowo- liberalne, a przy tym szczerze nienawidzących anty-oświeceniowców, którzy swą ciemnotą odwlekają nadejście momentu wiecznej szczęśliwości.

Choć dla wielu myślących ludzi jest dziś jasne że „król jest nagi" a oświeceniowa wiara w państwo jako zbawiciela jest fikcją, tym niemniej nadal nie ma poważnego konkurenta dla tej nadal triumfującej myśli oświeceniowej. Pani Marie le Pen lub Alternative für Deutschland to żałosne próby nieudanego stawania się jakąkolwiek rzeczywistą alternatywą. I tu rodzi się potrzeba powrotu prawdziwego chrześcijaństwa, właśnie jako potrzebnego do tego, by się zmagać ze swoimi własnymi podróbkami. Przy tym nie warto się odżegnywać od podróbek. Każda z tych podróbek tworzyła historię Europy i odróżniała ten kontynent od całej reszty świata. Nie da się za pojedynczym pstryknięciem palcami wcielić Ewangelii, nawet gdy nasze ambicje dotyczą jedynie zaczątków Królestwa Bożego.

Każda z podróbek Ewangelii wnosiła swoje własne zalety i do dziś pozostawiła trwałe ślady w dobrych rozwiązaniach sposobów funkcjonowania ludzkich społeczności. Unikalny system feudalnej Europy z dynamicznym równoważeniem się władzy świeckiej i kościelnej utworzył ogromne pole wolności i samorządności, a więc tego, czego w ogóle nie zna tradycja chińska. Podobnie, ogromne ambicje i entuzjazm, z jakim próbuje się udoskonalać konstrukcję władzy państwowej, dały mnóstwo wartościowych owoców na zawsze mających swe zastosowanie na całym globie.

Do istotnych cech natury ludzkiej jest wypatrywanie i naśladowanie tego co modne lub, właśnie, nowoczesne. W taki sposób już od czasów paleolitu pośród ludzi upowszechniały się nowe rozwiązania. Jednak warto zachowywać pewną roztropność w adaptowaniu każdej nowości, bo nie wszystko, co nowe, jest mądre. Albo też, wyrażając to samo innymi słowy, coś może być użyteczne tylko na pewnym etapie rozwoju, po czym warto się tego czegoś pozbyć, niejednokrotnie powracając do wcześniej sprawdzonych koncepcji, choć zazwyczaj poddanych stosownej korekcie.

Taką rzeczą nie bardzo mądrą jest oświeceniowa wiara w państwo, co nadal porusza sercami elit europejskich, a dla kanclerza Olafa Scholza jest argumentem, by wprowadzać federalizację Unii Europejskiej w połączeniu z likwidacją prawa weta. Co bardziej przypomina silnie scentralizowane państwo, to wydaje się być czymś nowoczesnym. A tu warto przypomnieć, iż ów kult scentralizowanego państwa pochodzi jeszcze sprzed Rewolucji Francuskiej i powstawał wśród europejskich „oświeconych absolutyzmów" epoki Ludwika XIV, Fryderyka Wielkiego czy Piotra Wielkiego. Wszyscy oni za nowoczesne uznawali to, co widzieli w konstrukcji Imperium Osmańskiego. Dziś już mało kto pamięta o tym, jaki wkład mieli Turcy w sposoby myślenia Europejczyków. Istotnie, absolutna władza sułtanów nie była podobna do europejskiego modelu władzy królewskiej, ograniczonej przywilejami stanowymi oraz autonomią duchowieństwa. W XVII wieku wpływowi mędrcy europejscy widząc zwycięstwa tureckie skojarzyli sobie, iż należy przestawić historyczne zwrotnice rozwoju kontynentu i postawić na silne, scentralizowane państwa. I ta nowoczesność na trwałe u nas zagościła.

Czy kanclerz Scholz starający się o likwidację prawa weta wewnątrz Unii ma świadomość, że w swym myśleniu jest kontynuatorem pomysłów zaczerpniętych od Imperium Osmańskiego?

Tutaj warto by wracać do chrześcijaństwa, a w tym do promowanej w nim zasady pomocniczości, wedle której organ wyższego szczebla tylko wtedy ma prawo ingerować w działanie organu niższego szczebla, gdy ten niższy własnymi siłami nie daje sobie rady. Zasada pomocniczości była wielkim wynalazkiem feudalnego średniowiecza, ale również jest stale podnoszona we współczesnych encyklikach papieskich, a z tego powodu była kluczową wskazówką, którą kierowali się Robert Schuman, Konrad Adenauer i Alcide de Gasperi, gdy ci inicjowali proces integracji europejskiej. Gdy kanclerz Scholz stara się sfederalizować Unię, odrzuca dobrą tradycję europejską, a imituje rozwiązania brane od Imperium Osmańskiego. Jeżeli Scholzowi się powiedzie to imitowane rozwiązań tureckich, doprowadzi Europę do tego, jak skończyło rzeczone Imperium Tureckie. Ta nowoczesność nie ma bowiem przyszłości.

Inne ważne osiągnięcie europejskiej wiary w postęp to utworzenie w XIX wieku ideologii kolonializmu. I to było nowoczesne. Czy nadal takim jest? Co na temat kolonializmu twierdzą zyskujące coraz większy poklask ruchy lewicowe?
Kto by dziś głosił, że zgodnie z ideami postępu mocarstwa europejskie winny prowadzić kolonialny podbój innych kontynentów, ten by wyszedł na wariata lub zgoła trafił do więzienia. Tym samym okazuje się, że nie wszystko, co nowoczesne, jest mądre.

Gdyby pozwolić sobie na odrobinę złośliwości, to warto by ponownie wskazać rzeczonego Olafa Scholza jako ukrytego rzecznika nowej postaci kolonializmu, tym razem pod szyldem centralizacji Unii Europejskiej.

W istocie bowiem promowana przez niego likwidacja weta ma obezwładnić autonomię państw europejskich, a w tle tego można się domyślać starych niemieckich marzeń o podbijaniu rynków gospodarczych. Tak więc „nowoczesność" kolonializmu wcale nie umarła. A i tu jest ona na bakier z zasadami, które znajdujemy w Ewangelii.

Autor
Marek Oktaba

Chińska wersja Biblii ukazuje Jezusa jako brutalnego zabójcę

KPCH WDROŻYŁA 10-LETNI PROJEKT PRZEPISYWANIA BIBLII, KORANU I INNYCH TEKSTÓW RELIGIJNYCH W RAMACH WIELKIEJ STRATEGII PRZEWODNICZĄCEGO XI JINPINGA, MAJĄCEJ NA CELU WYKORZYSTANIE RELIGII NA POTRZEBY PARTII.

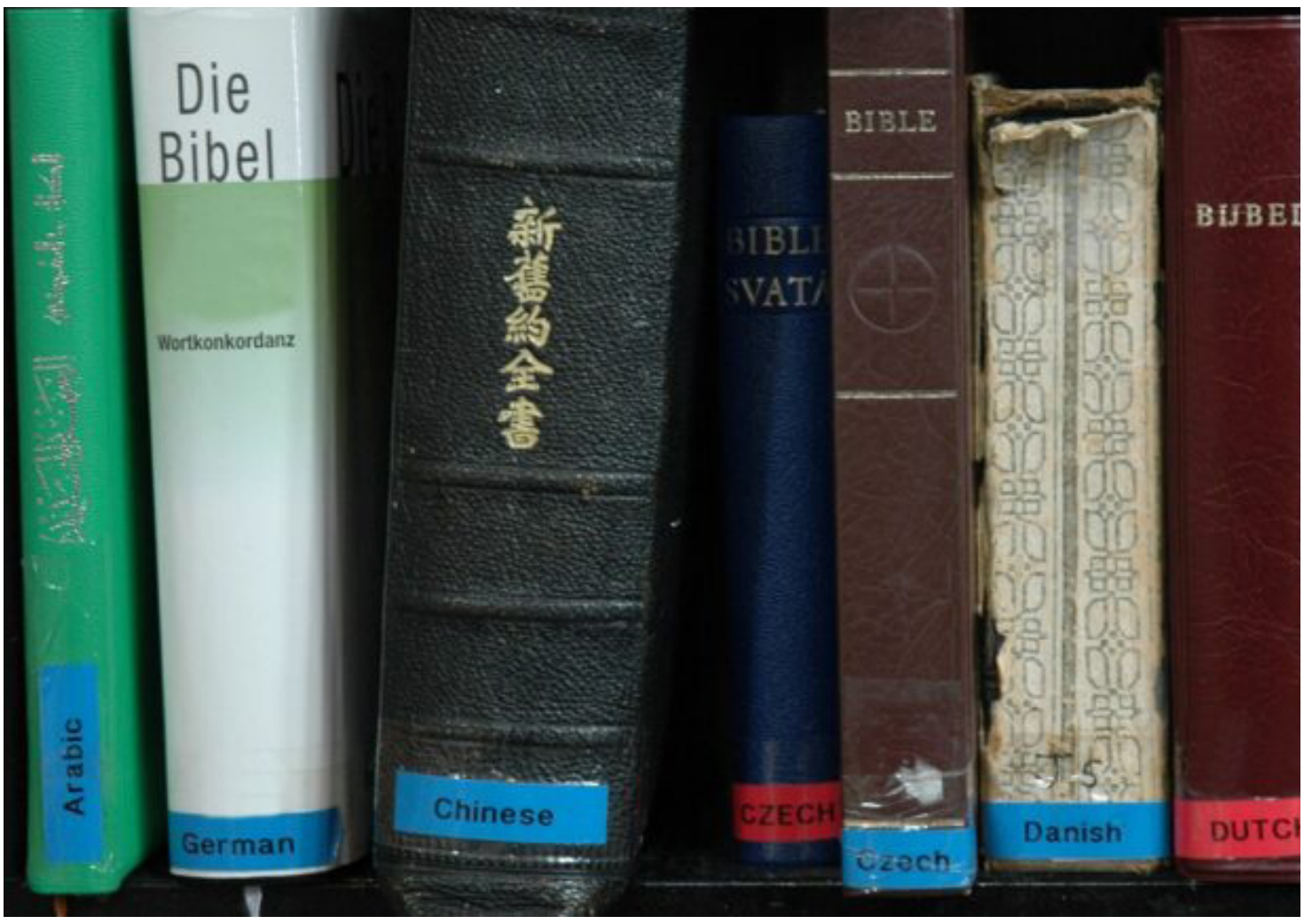

Kościoły protestanckie w prowincji Henan już zostały zmuszone do zastąpienia Dekalogu cytatami z Xi Jinpinga. Boskie nakazy, takie jak „Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną", zamieniono na polityczne stwierdzenia, takie jak „Strzeż się infiltracji zachodniej ideologii". Chiński uniwersytet zaproponował w 2020 r. sposób, w jaki Komunistyczna Partia Chin może na swój użytek przepisać chrześcijańską Biblię. Wydany tam podręcznik radykalnie zmienił opisaną w Ewangelii Jana historię o przebaczeniu i miłosierdziu. Podczas gdy przedstawiony przez ewangelistę Jezus mówi: „Kto z was jest bez winy, niech pierwszy rzuci w nią kamieniem", w nowym chińskim tekście Chrystus, zamiast okazać współczucie, kamienuje oskarżoną kobietę na śmierć.

To pokazuje najlepiej, jak przerażająco może wyglądać ostateczny projekt KPCh.

Trafnie podsumował tę sprawę poseł Mike Gallagher, twierdząc, że interpretacja religii przez Xi najwyraźniej nie sprzeciwia się oddawaniu czci bóstwu, ale tylko pod warunkiem, że to Xi i KPCh zajmują pozycję Boga.

Co do tego, że w Chinach naruszono swobody religijne, nikt chyba nie ma najmniejszych wątpliwości. Tym bardziej zaskakuje fakt, że światowi przywódcy religijni, tacy jak papież Franciszek, nie stawili większego oporu. W tajnych negocjacjach z 2018 r. Watykan podobno zgodził się na upoważnienie KPCh do wyboru katolickich biskupów w Chinach w zamian za nieokreślone gwarancje „bezpieczeństwa" kongregacji.

Kontrola KPCh uderza też w buddyzm tybetański i jego świętą tradycję, roszcząc sobie prawo do wyboru następnego Dalajlamy. Tybetańscy buddyści zaciekle opierają się temu naruszeniu, ale KPCh uzasadnia swoje stanowisko, twierdząc, że nawet papież Franciszek akceptuje władzę partii nad działalnością religijną.

Jeszcze bardziej przeraża w Chinach ucisk religijnych grup mniejszościowych. Na dalekim zachodzie, szczególnie w Xinjiang i Tybecie, muzułmanie i buddyści konfrontują się obecnie z agresywną kampanią mającą na celu wykorzenienie ich wiary, a w niektórych przypadkach także ich populacji, do tego stopnia, że można to uznać za formę ludobójstwa.

Wolna religia jednak nadal w Chinach istnieje, zeszła jednak w wielu przypadkach do podziemia. Świadectwa tajnych kościołów, odważnych duchownych i nieugiętych wiernych ukazują trwałą wiarę w warunkach surowych represji. Gallagher ma zapewne rację, uważając, że w tej walce nie chodzi tylko o religię. Chiński reżim walczy bowiem o ludzkiego ducha i zdolność sięgania po coś wykraczającego poza autokrację KPCh.

Jeden z chińskich pastorów trafnie to podsumował. „W tej wojnie, w Xinjiang, w Szanghaju, w Pekinie, w Chengdu, rządzący wybrali wroga, którego nigdy nie można uwięzić - duszę człowieka" - powiedział.

Na podstawie:
American Military News.

„Sound of Freedom" pokazuje walkę ze zorganizowaną pedofilią

„Sound of Freedom" opowiada historię Tima Ballarda, byłego agenta federalnego. Rzucił pracę w rządzie USA, aby ratować dziecięce ofiary handlu ludźmi i obnażyć prawdę o walce z siatkami pedofilskimi. Oparty na prawdziwej historii obraz, został wyprodukowany przez Angel Studios i wyreżyserowany przez Meksykanina Alejandro Monteverde. Brudne ręce amerykańskich władz Bohater filmu Ballard wsławił się ujawnieniem zmowy rządu USA z kilkoma największymi na świecie siatkami pedofilskimi. Jest założycielem Operation Underground Railroad (OUR), organizacji non-profit zajmującej się zwalczaniem handlu ludźmi w celach seksualnych.

Produkcji filmu podjął się meksykański aktor o prawicowych przekonaniach Eduardo Verástegui. Obraz powstał też z niewymienioną pomocą Mela Gibsona, który sam niedawno współpracował z Timem Ballardem, aby rozbić grupę handlującą ludźmi na Ukrainie.

W główną rolę wcielił się 54-letni Jim Caviezel, najlepiej zapamiętany z roli Jezusa w „Pasji" i bliski przyjaciel Gibsona. Aktor uznał tę rolę za jedną z najważniejszych w karierze i podkreśla, że jest z niej dumny. „W rzeczywistości powiedziałbym, że jest to drugi najważniejszy film, jaki zrobiłem po Męce Pańskiej" - stwierdził.

„Sound of Freedom" pokazuje walkę ze zorganizowaną pedofilią

ciąg dalszy artykułu na stronie 9

ŚWIAT

„Sound of Freedom" pokazuje walkę ze zorganizowaną pedofilią ciąg dalszy artykułu ze strony 8

Nie jest on jednak jedyną gwiazdą obsady. Zdobywczyni Oscara Mira Sorvino i nominowany do nagrody Emmy Bill Camp również znaleźli się w czołówce filmu, który wszedł na ekrany kin w USA 4 lipca.

W walce ze złem

Film opowiada o początkach organizacji OUR. Mówi też o momencie, gdy Ballard postanowił całkowicie zmienić swoje życie, gdy podczas misji dla rządu USA w Kolumbii, spotkał siedmioletniego chłopca, który ujawnił mu świat politycznych i ekonomicznych uwikłań, ułatwiających pedofilię.

Po tym spotkaniu agent całe swoje życie dosłownie wywrócił do góry nogami, rezygnując z dotychczasowej pracy, by wyruszyć w pojedynkę w głąb kolumbijskiej dżungli dla ratowania porwanej siostry siedmiolatka.

|Ta dramatyczna, obfitująca w sceny akcji, historia zmusza widza do myślenia. „To, co widzimy w filmie, oparte jest na prawdziwej operacji o nazwie Triple Take" – poinformował były agent CIA Matt Osborne. „Ballard zrezygnował z pracy w DHS, aby móc wyruszyć na osobistą misję ratowania setek dzieci wykorzystywanych seksualnie. Próbował to zrobić za pośrednictwem właściwych kanałów, aby złożyć skargę do swoich przełożonych, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Nie z powodu zaniedbania, ale z powodu wzajemnych interesów i skrajnej korupcji" – powiedział.

Gibson głównym promotorem filmu

Jednym z największych promotorów filmu jest Mel Gibson, który przed premierą zachęcał widzów do obejrzenia obrazu w kinach.

„Jednym z najbardziej niepokojących problemów współczesnego świata jest handel ludźmi. A w szczególności handel dziećmi" – powiedział w nagraniu opublikowanym na oficjalnym internetowym koncie meksykańskiego producenta.

„Naszą przyszłością są nasze dzieci. Pierwszym krokiem do wyeliminowania tego przestępstwa jest świadomość" – podkreślił.

Na podstawie

La Derecha Diario

Satelity Starlink dominują na orbicie

ELON MUSK ZDOMINOWAŁ WSZYSTKICH W BRANŻY KOMUNIKACJI SATELITARNEJ. JEGO FIRMA SPACEX MA 60 PROC. UDZIAŁU W GLOBALNYM BIZNESIE WYNOSZENIA SATELITÓW NA ORBITĘ – INFORMUJE DZIENNIK „NIKKEI ASIA".

Musk staje się potentatem w biznesie związanym z satelitami. Jego firma SpaceX zapewnia satelitarne usługi szerokopasmowe Starlink. W czerwcu miliarder skorzystał z wizyty premiera Indii Narendry Modiego w USA, by zaprezentować mu ofertę łączności satelitarnej. Przekonywał, że lepsza łączność „może być niezwykle pomocna" w odległych wioskach o słabym dostępie do szerokopasmowego Internetu.

Populacja Indii jest ogromna – wynosi 1,4 mld, ale tylko 2 proc. gospodarstw domowych ma szybkie internetowe łącze stacjonarne.

Konstelacje satelitów na niskiej orbicie okołoziemskiej oferują w niektórych lokalizacjach szybszą komunikację niż lądowe łącza szerokopasmowe. Musk, który jest też założycielem Tesli, największej na świecie firmy produkującej pojazdy elektryczne, inwestuje dużo energii w ten rozwijający się rynek. Należąca do niego SpaceX odpowiada obecnie za nieco ponad 60 proc. światowych startów satelitów w tym roku. Ich pojedyncza rakieta może wynieść nawet 60 satelitów jednocześnie.

Usługa Starlink rozwija się głównie w segmencie B2B. Amerykańska linia wycieczkowa Royal Caribbean Group oraz Zipair Tokyo, japońska tania linia lotnicza, należą do jej klientów korporacyjnych.

Firma odegrała również znaczącą rolę na Ukrainie, gdzie wiele naziemnych obiektów komunikacyjnych zostało zniszczonych w wyniku rosyjskich ataków.

Bezkonkurencyjni

Musk pędzi naprzód, nawet Japonia pozostaje daleko w tyle, z zaledwie 10 do 20 satelitami wystrzeliwanymi rocznie.

Od 2019 r., firma Muska wysłała w kosmos prawie 5 tys. satelitów i złożyła wniosek o pozwolenie na obsługę w sumie 42 tys. Tylko w tym roku, do końca czerwca, firma SpaceX umieściła na orbicie ponad tysiąc satelitów.

Jonathan McDowell, astrofizyk z Harvard-Smithsonian Center for Astrophysics, twierdzi, że stanowi to obecnie ponad 60 proc. satelitów wystrzelonych na całym świecie. Firma ma niewielu konkurentów. Jej rywal z branży Big Tech – Amazon – planuje wystrzelić prototypowego satelitę dopiero w tym roku.

Siłą satelitów Starlink jest to, że mogą zapewnić szybki dostęp do Internetu, ponieważ orbitują od 300 do 600 km nad powierzchnią Ziemi. Jest to znacznie niżej niż inne satelity, które zwykle działają na orbicie około 36 tys. km. Jedyne, co muszą zrobić klienci Starlink, to zainstalować antenę o wymiarach 50 na 30 centymetrów.

Pod względem szybkości Starlink jest porównywalny z usługami naziemnymi, przy czym jest do 40 proc. szybszy niż zwykłe łącze szerokopasmowe w Wielkiej Brytanii i dwa razy szybszy niż australijskie.

Świetne perspektywy

Morgan Stanley prognozuje, że globalny rynek usług łączności satelitarnej wzrośnie trzynastokrotnie w latach 2020-2040, do 95 mld dolarów. Według Adama Jonasa, analityka banku, łącza satelitarne są potężnym narzędziem dla autonomicznych samochodów, pozwalając na aktualizowanie oprogramowania w dowolnym miejscu.

Siłą usługi Muska jest też to, że dzięki satelitom nie ma potrzeby stosowania kabli. To daje firmie dużą przewagę na wiejskich terenach i odległych obszarach o słabej infrastrukturze komunikacyjnej. Według Euroconsult – firmy konsultingowej z branży kosmicznej, liczba użytkowników szerokopasmowego Internetu satelitarnego ma wzrosnąć ponad dwukrotnie na całym świecie, z 71 mln w 2022 r. do 153 mln w 2031 r.

Komunikacja satelitarna wciąż jest jednak ryzykowna. Brytyjski operator satelitarny OneWeb upadł w 2020 r. po popadnięciu w kłopoty finansowe i został uratowany przez rząd.

SpaceX radzi sobie dobrze, ale nie stoi całkowicie na solidnym gruncie. Firma rozwija rynki, otrzymując jednocześnie duże dotacje z Waszyngtonu i zamówienia na projekty od NASA.

Prezes SpaceX Gwynne Shotwell powiedziała, że Starlink „zarobi na siebie" do końca obecnego roku.

Na podstawie:

https://asia.nikkei.com/Spotlight/Datawatch/Elon-Musk-dominates-orbit-with-Starlink-satellites

ŚWIAT

REKORDOWE BEZROBOCIE WŚRÓD MŁODYCH CHIŃCZYKÓW

WEDŁUG OFICJALNYCH RZĄDOWYCH STATYSTYK W CHINACH BEZROBOCIE W GRUPIE 16-24 LATA OSIĄGNĘŁO W MAJU REKORDOWY POZIOM 20,8 PROC. JEDNOCZEŚNIE CORAZ MNIEJ JEST WYSOKOPŁATNYCH MIEJSC PRACY, KTÓRE WYMAGAJĄ WYSOKICH KWALIFIKACJI, JAKIE CHIŃSKA MŁODZIEŻ ZDOBYWA W SZKOŁACH WYŻSZYCH – POINFORMOWAŁ DZIENNIK „EL ECONOMISTA".

Pandemia COVID-19, nowe przepisy antymonopolowe oraz kapitałowe doprowadziły wspólnie do likwidacji setek tysięcy miejsc pracy w chińskim sektorze technologicznym. Niepewność, jaką wzbudza środowisko polityczne w tym kraju, może doprowadzić do podobnych cięć również w innych sektorach wymagających wysokich kwalifikacji, np. w finansach.

Już w czerwcu w Internecie pojawiło się wiele sygnałów od tegorocznych absolwentów chińskich uczelni, którzy z rozpaczą orientowali się, że jedyne dostępne dla nich na rynku pracy perspektywy to obecnie nisko płatne posady w słabo opłacanych sektorach – gdzie zatrudnienie jeszcze utrzymuje wzrostowe tendencje. Dla chińskich studentów – a także ich rodziców – taka nowa rzeczywistość jest trudna do zaakceptowania, ponieważ zdobycie wyższego wykształcenia wymagało od nich wielu poświęceń.

Chiński system wyższej edukacji jest jednym z najlepszych na świecie. Żeby dostać się na uczelnię wyższą, trzeba zdać ogólnokrajowy, standaryzowany test gaokao. Przygotowania do tego testu mogą zająć uczniom nawet kilka dodatkowych lat. Jednocześnie szkoły kładą ogromny nacisk na opanowanie podstawy programowej z zakresu matematyki, literatury i nauk ścisłych. Często odbywa się to kosztem innych przedmiotów – na przykład chińskie szkoły podstawowe mocno ograniczyły takie zajęcia jak muzyka czy wychowanie fizyczne.

Już dziesięcioletnie dzieci dostają tyle prac domowych, że ich odrobienie zajmuje im często nawet cztery godziny. To wyzwanie nie tylko dla najmłodszych, ale także dla ich rodziców, którzy muszą nieustannie nadzorować, motywować czy zachęcać swoje pociechy do pracy. Cały ten trud podejmowany jest w nadziei, że po latach dzieci zajmą stabilną, wysokopłatną posadę, w którymś z dynamicznie rozwijających się sektorów gospodarki. Tyle że chiński wzrost gospodarczy właśnie spowolnił. Problemy na chińskim rynku pracy bardziej dotknęły młode kobiety niż mężczyzn. Co prawda młode kobiety osiągają w tym kraju lepsze wyniki w nauce – niezależnie od przedmiotu czy grupy wiekowej – to do niedawna istniały sektory, do których nie dopuszczano kobiet, jak na przykład lotnictwo cywilne. Warto przypomnieć, że przez wiele lat polityka jednego dziecka doprowadziła do preferowania mężczyzn na wielu polach życia publicznego. Chociaż Chiny odeszły już od tej polityki, to do dziś ponoszą jej konsekwencje – w przedziale wiekowym od 15 do 19 lat na każde 100 dziewcząt przypada 116 chłopców, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych na każde 100 dziewcząt w tej grupie wiekowej przypada tylko 98 chłopców.

Kiedy wskaźnik urodzeń w Chinach spadł na początku XXI wieku do historycznie niskiego poziomu, na horyzoncie pojawiły się wynikające z tego problemy gospodarcze. To wtedy rząd postanowił porzucić politykę jednego dziecka, na poziomie prowincji zwiększano długość urlopu macierzyńskiego i podejmowano inne działania mające nagle podnieść dzietność. Jednak odbiły się one negatywnie na perspektywach zatrudnienia kobiet. Wydłużenie urlopów wychowawczych i zachęcanie do zachodzenia w ciążę zwiększa bowiem koszty zatrudnienia kobiet dla pracodawcy. Co więcej, chińscy pracodawcy są przekonani, że mężczyźni będą pracowali tak długo, jak będzie to konieczne z perspektywy projektu czy stanowiska, natomiast kobiety mniej będą chętne do nadgodzin, mając w domu dzieci. Sytuacja jest o tyle niekorzystna, że zmniejsza się ilość pracy wymagającej wysokich kwalifikacji.

Kiedy zapotrzebowanie na wysoko kwalifikowanych pracowników było większe niż ich ilość na rynku pracy – pracodawcy siłą rzeczy zatrudniali kobiety, nawet za cenę dodatkowych kosztów czy świadczeń. Teraz jednak na pojedyncze stanowisko kandyduje od 11 do 40 osób, co sprawia, że rynek pracy stał się rynkiem pracodawcy. Ci zaś, mogąc wybierać, zdecydowanie częściej decydują się na zatrudnianie mężczyzn. Kobiety albo sięgają po gorzej płatne posady mimo wyższych kwalifikacji, albo w ogóle wypadają z rynku zatrudnienia.

Problemy młodych kobiet na chińskim rynku pracy stanowią zaledwie jedną z oznak, że gospodarka tego kraju zmierza w złą stronę. Przez ostatnie dekady Chiny cieszyły się wzrostem gospodarczym, za którym szło podnoszenie dochodów i wykształcenia, zwiększanie udziału kobiet w runku pracy i zmniejszanie wielkości rodzin. Teraz jednak tendencja się odwróciła i płace spadają. Podobnie jest z wykształceniem – rodzice dochodzą do wniosku, że starania ich samych oraz ich dzieci nie są warte rezultatów, bo wysiłek nie przełoży się na wyższe zarobki w przyszłości. Podobnie zmniejsza się udział kobiet w rynku pracy z powodów opisanych powyżej. Zejście z 10-proc. wzrostu rocznego PKB było spodziewane, ale to odwrócenie tendencji może niepokoić, zwłaszcza że chiński rząd nie potrafi znaleźć na nie odpowiedzi. Niektóre posunięcia wydają się absurdalne – na przykład w 2021 r. zakazano korepetycji online, mając nadzieję, że wyrówna to szanse dzieci w wieku szkolnym. W konsekwencji zmniejszyło się zatrudnienie w sektorze technologicznym, straciły korepetytorki i korepetytorzy, ale też platformy internetowe umożliwiające organizację takich zajęć czy inwestorzy, którzy w rozwój tej branży inwestowali.

Nie wyrównało to szans uczniów, ponieważ korepetycje są nadal dozwolone i udzielane – tyle że w formie stacjonarnej, a to znaczy, że są droższe. Zresztą, kiedy kurczy się rynek pracy, dzieci (czy też ich ambitni rodzice) stają się jeszcze bardziej konkurencyjne i próbują wykorzystać każdą przewagę nad rówieśnikami, którzy za kilka lat staną się ich rynkową konkurencją. Podnosi to jednak koszty ponoszone przez rodziców, którzy jeszcze wierzą w ten system.
Ta konieczność zwiększania inwestycji w edukację dzieci, po raz kolejny bardziej uderza w dziewczynki. Dopóki Chiny utrzymywały politykę jednego dziecka, córki miejskich rodzin otrzymywały całe możliwe wsparcie finansowe od rodziców. Teraz kiedy mieszkańcy miast mogą pozwolić sobie na więcej dzieci, ograniczają zasoby wydatkowane na każde z nich – i więcej poświęcają na synów. Teoretycznie bezrobocie wśród młodych chińczyków można znacząco zmniejszyć, jeśli zachęci się absolwentów do powrotu na tereny wiejskie, z których często pochodzą.

Tam czeka ich jednak gorzej płatna praca fizyczna. Nie to jest jednak największym problemem. Chiny są obecnie krajem o średnim dochodzie, którego rozwój gospodarczy sprzężony jest z rozwojem miast. Powrót młodzieży na wieś byłby krokiem wstecz – w ten sposób nie wzrosłyby płace, zniechęcałoby to też kolejne roczniki do zdobywania wyższego wykształcenia.

Faktyczne rozwiązanie problemu leży zatem gdzie indziej. Konieczne jest stworzenie dobrze płatnych miejsc pracy dla wysoko wykwalifikowanych absolwentów uniwersytetów. Zadaniem rządu jest zatem stworzenie warunków do powstawania takich posad w dochodowych sektorach, a także inwestowanie w rozwój szkolnictwa akademickiego.

Na podstawie:
https://www.eleconomista.es/economia/noticias/12379771/07/23/el-desempleo-juvenil-y-el-futuro-economico-de-china.html

ŚWIAT

WIELKA BRYTANIA ZWIĘKSZA WYDATKI NA ARMIĘ, ALE NIE PRZYWRACA LICZEBNOŚCI WOJSK

PRZED WOJNĄ W UKRAINIE WIELKA BRYTANIA ZORIENTOWANA BYŁA NA CIĘCIA W ARMII. JEDNAK POD WPŁYWEM ZMIAN W SYTUACJI GEOPOLITYCZNEJ POSTANOWIŁA ODWRÓCIĆ CIĘCIA W SEKTORZE OBRONNOŚCI, ALE NIE POD WZGLĘDEM LICZEBNOŚCI ARMII.

Wallace ironizował, że gdyby przywrócić liczebność armii albo nawet ją zwiększyć, oznaczałoby to, że żołnierze wysyłani by byli do walki z widłami zamiast nowoczesnej, technologicznie zaawansowanej broni. Komentarz ten pojawia się w ważnym kontekście, ponieważ Wielka Brytania aktualizuje właśnie swoją politykę obronną. Jej nowa wersja pojawiła się w 2021 r., jednak inwazja na Ukrainę wymusiła zaktualizowanie tego dokumentu.

Ma on określać sposób dostosowania brytyjskiego wojska do „zmieniającego się globalnego obrazu". Jedną z głównych strategii ma być priorytetowe podejście do inwestowania w rozwój naukowy i nowoczesne technologie.

Wcześniej Wallace zapowiadał, że z obecnych 82 tys. wyszkolonych żołnierzy, Wielka Brytania zatrzyma do przyszłego roku tylko 73 tys., co będzie najmniejszą armią w historii tego kraju. Teraz przyznaje, że nie zamierza wrócić do poprzednich 82 tys., ponieważ ich wyposażenie, zakwaterowanie itd. zabrałoby zbyt dużo środków finansowych.

„Jeśli ma to być grupa bojowa, to czy zamierzasz kupić im 300 pojazdów opancerzonych, czy po prostu dać im widły? To jest wybór" – **powiedział Wallace.**

Sekretarz obrony podkreślił, że to wojna na Ukrainie potwierdziła, jak ważne dla obronności jest dziś doskonale uformowane wojsko. Swoje zadanie określił jako „dopasowanie" armii w taki sposób, by była ona skalowalna – możliwa do zwiększenia w przyszłości, jeśli kraj tak zdecyduje.

Przygotowywany plan zakłada inwestycje w wysokości 2,5 mld funtów, które mają zostać spożytkowane na poprawę zdolności bojowej brytyjskiej armii. Kolejne 400 mln, rząd planuje poświęcić na modernizację zakwaterowania dla żołnierzy i ich rodzin.

Oprócz tego brytyjskie wojsko ma wspiąć się na wyżyny technologiczne i naukowe, rozwijając militarne zastosowania robotyki czy broni laserowej.

Jednakże brytyjscy urzędnicy zatrudnieni w departamencie obrony twierdzą, że zmiany wprowadzane do planu to głównie „wnioski z wojny na Ukrainie", które mają zapewnić „wiarygodne siły bojowe, które utrzymają nas na dobrej drodze do działania, jako globalna waga ciężka zarówno teraz, jak i w przyszłości".

Brytyjski Szef Sztabu Obrony Admirał Sir Tony Radakin ujawnił ostatnio, że rosyjskie czołgi, które zostały unieszkodliwione przez wojsko Ukrainy, przewieziono do Porton Down, gdzie brytyjscy eksperci rozebrali je na czynniki pierwsze, aby poznać szczegóły produkcji, technologii i taktyki.

„To naprawdę ważne, ponieważ należymy do grupy narodów, które – po zdobyciu rosyjskiego sprzętu lub sprzętu innych narodów, które mogą stanowić dla nas zagrożenie w przyszłości – dzielą się zebraną w ten sposób wiedzą" – powiedział Sir Tony.

„Mamy naukowców, którzy rozpracowują szczegóły, które inny naród może mieć na naprawdę kryminalistycznym poziomie, a to pomaga nam zrozumieć, jak działa ich sprzęt, jak możemy go pokonać, jak możemy mieć jeszcze lepszy pancerz, jak możemy zakłócić ich komunikację, jak możemy zapewnić, że możemy przeniknąć ich obronę – to właśnie robimy" – dodał.

Niedawno brytyjski szef Sztabu Generalnego, generał Sir Patrick Sanders, stwierdził, że jego kraj nie może liczyć tylko na NATO, a ich czołgi w porównaniu z dzisiaj produkowanymi modelami są, jak „telefony z tarczą obrotową w erze iPhone'ów".

Ben Wallace zaprzeczył jednak temu zarzutowi. Jego zdaniem redukcja wojsk nie osłabiła armii. Aczkolwiek czołgi – określone przez niego mianem „fundamentalnej części armii" – są jednym z segmentów, w które Ministerstwo Obrony faktycznie planuje inwestować.

„Potrzebujemy czołgów, nikt ich nie wyrzuca. Ale bez względu na to, jakie czołgi mamy, musimy w nie inwestować, aby upewnić się, że są one odpowiednio zdolne do obrony, odpowiednio rozmieszczone i odpowiednio sprawne" – **powiedział Wallace.**

Niedawno Wallace zapowiedział, że przy kolejnych zmianach i przetasowaniach w rządzie sam planuje ustąpić ze stanowiska sekretarza obrony. Zaznaczył jednak, że nie chce, by jego dziedzictwo polegało na dokonywaniu cięć w liczebności wojska.

„Naszą spuścizną są bardziej zmodernizowane siły zbrojne" – powiedział. Zaznaczył, że „nie ma sensu mieć statków zapakowanych w folie bąbelkowe" i „nie ma sensu trzymać w magazynach czołgów, które nie działają".

„Będziecie mieli bardziej śmiercionośne, lepiej wyposażone, bardziej globalnie rozmieszczone siły" – **podsumował Wallace.**

Sekretarz obrony określił podejście zastosowane przy przygotowywaniu dokumentu wyznaczającego politykę obronną jako holistyczne, polegające na „przełamaniu wszystkich barier" i integrujące różne siły.

Jego zdaniem w przyszłości piechota morska będzie zdolna przeprowadzać ataki dalekiego zasięgu z morza, używając do tego telefonów komórkowych, a nie – jak obecnie – okrętów podwodnych. Jeśli jakichś sił nie da się we współczesnej armii zintegrować, stają się one „mniej wydajne, mniej produktywne i mniej niebezpieczne", uważa Wallace.

Według sekretarza przygotowywany dokument nie jest „ładną małą listą zakupów", chodzi w nim natomiast o „stworzenie podstaw dla przemysłu i innych sektorów, aby powiedzieć: tak musimy wyglądać w przyszłości".

W połowie lipca 2023 r. B. Wallace ogłosił w wywiadzie dla Sunday Times, że zrezygnuje ze stanowiska szefa obrony i ostatecznie całkowicie porzuci brytyjską politykę. (Red.)

Na podstawie
The Telegraph

Okaleczyli nastolatkę, twierdząc, że jest transseksualna

CORAZ WIĘCEJ MŁODYCH DZIEWCZĄT WIERZY, ŻE SĄ MĘŻCZYZNAMI. TYMCZASEM MŁODA AMERYKANKA POZYWA LEKARZY, KTÓRZY PRZEPROWADZILI U NIEJ ZMIANĘ PŁCI, GDY MIAŁA 17 LAT. TWIERDZI, ŻE NIKT NIE ZAINTERESOWAŁ SIĘ PRAWDZIWYM ŹRÓDŁEM JEJ PROBLEMÓW I NIE POCHYLIŁ SIĘ NAD NIMI. ZAMIAST POMÓC, OKALECZONO JĄ. JEJ HISTORIĘ OPISUJE „LA GACETA".

Dziś, niektórzy eksperci biją na alarm, twierdząc, że w ciągu ostatniej dekady liczba dziewcząt chcących zmienić płeć i stać się mężczyzną wzrosła nawet o kilka tysięcy procent, w niektórych krajach. Coraz częściej ujawniają się jednak też ofiary zmiany płci, które chcą przeprowadzić detranzycję po uznaniu, że był to błąd. Jednak często pełne odwrócenie zmian nie jest możliwe.

„Powiedzieli mi, że mnie wyleczą i że nie będę już chciała się zabić, a to nie była prawda".

Historię Prishy Mosley, 25-letniej kobiety z Karoliny Północnej, która straciła piersi i została naszpikowana męskim hormonem, jest bardzo przykra. Dziś pozywa zespół lekarzy i specjalistów, którzy przepisali jej testosteron w wieku 17 lat, a rok później ją okaleczyli.

„Chwaliłam się, że schudłam cztery kilogramy w ciągu jednego dnia, to najbardziej ekscytowało mnie w mojej mastektomii" – 25-latka zwierza się w wywiadzie wideo dla Independent Women's Forum.

Dziewczynka miała zaledwie 13 lat, gdy poczuła, że nie pasuje do otoczenia.

„Przestałam czerpać radość z różnych rzeczy, nie mogłam nawiązać kontaktu z rodziną, zaczęłam mieć wiele problemów ze zdrowiem psychicznym, lękiem, depresją, a w końcu przestałam jeść i zaczęłam się samookaleczać" - wyjaśnia.

Trafiła wówczas do specjalistów, którzy zdiagnozowali u niej zaburzenie osobowości borderline i anoreksję. Miała za sobą ciężkie przejścia - jej matka uzależniła się od narkotyków, a ona sama została wykorzystana seksualnie, gdy miała zaledwie 14 lat. „Jesteś trans, jeśli nienawidzisz swojego ciała".

Wytłumaczenia dla swoich problemów Mosley szukała w sieci. W wieku 15 lat pomyślała, że znalazła odpowiedź. **„Nienawidziłam siebie i swojego ciała. Zaczęłam czytać o transpłciowości w Internecie i wiele rzeczy sprawiło, że poczułam się zidentyfikowana: jesteś transpłciowa, jeśli nienawidzisz swojego ciała, jeśli nie czujesz się z nim komfortowo, jeśli chcesz być inną osobą «, a biorąc pod uwagę wszystko, przez co przechodziłam, pomyślałam, że jeśli zharmonizuję swoje ciało z umysłem lub coś w tym stylu, poczuję się lepiej"** - opowiada.

Wielu innych młodych ludzi mogłoby podpisać się pod tą historią. Te osoby, będąc nastolatkami, cierpią na różne zaburzenia psychiczne i często pochodzą z rozbitych rodzin. Szukając dla siebie leku na cierpienia, jakie przeżywają, myślą, że odnajdą się w społeczności transpłciowej. Wierzą, że ta grupa ich rozumie, oferując im wyjście z ich problemów poprzez tranzycję. **„Społeczność transseksualna bombardowała mnie miłością. Nienawidziłam siebie i byłam przekonana, że wszyscy nienawidzą mnie. Więc kiedy społeczność zaczęła świętować fakt, że urodziłam się w niewłaściwym ciele, poczułam się doceniona, poczułam się kochana. To była fala prawdziwej miłości"** - wyjaśnia młoda kobieta.

Mosley najpierw zmieniła imię, potem ubrania, aż znalazła w Internecie „eksperta ds. transpłciowości". Już po pierwszej kilkuminutowej wizycie przepisano jej hormony i doradzono operację usunięcia piersi.

Gdy pozbyła się biustu, początkowo odczuła to jako ulgę dla jej chorego, anorektycznego umysłu. **„Czułam, że usunęłam bezużyteczny tłuszcz. Chciałam też poddać się liposukcji, ale nie zgodzili się. Najwyraźniej, gdy masz zaburzenia psychiczne, naprawa, zmiana ciała, nie jest właściwą odpowiedzią na problemy. Według lekarzy liposukcja nie jest leczeniem anoreksji, ale operacja piersi jest leczeniem dysforii płciowej" – mówi.**

„Nie wiem, czy wierzyli, że mi naprawdę pomagają, czy to było tylko dla pieniędzy".

Jej decyzja o zmianie płci zniszczyła jej więzi rodzinne i wepchnęła ją w toksyczny związek z kimś, kto „potwierdził" jej dysforię płciową, nie kwestionował jej. W efekcie zmian i z powodu operacji, której się poddała, straciła pracę i popadła w długi.

Dziś zastanawia się, jak to wszystko było możliwe. **„Patrząc wstecz, wcale nie czułam się dobrze i było to oczywiste, byłam tak niestabilna, że dosłownie nie chciałam żyć. Lekarze zdawali sobie sprawę z tego, jak oderwana byłam od rzeczywistości i nie rozumiem, jak w tym wieku mogłam podejmować decyzje, które na zawsze zmieniły moje życie"** - mówi.

Kiedy skończyła 20 lat i rozpoczęła leczenie psychoterapeutyczne, zajęło jej trochę czasu, aby zaakceptować fakt, że wcale nie cierpiała na dysforię płciową, a poprzez zmianę płci jedynie próbowała wyleczyć swoje zaburzenie osobowości i ukryć swoje problemy.

„Zaprzeczałam temu przez długi czas, ponieważ włożyłam w to tyle pieniędzy i energii, straciłam przez to członków rodziny i całkowicie zmieniłam swoje ciało" - przyznaje.

Mosley wciąż nie rozumie, co skłoniło lekarzy do postawienia błędnej diagnozy: **„Nie wiem, czy naprawdę myśleli, że mi pomagają i nie ma wystarczających badań na ten temat, czy po prostu chodziło o pieniądze" – zastanawia się.**

„Nic, co robiłam podczas mojej przemiany, nie służyło leczeniu tych rzeczy, które sprawiały, że cierpiałam psychicznie".

Mosley zdaje sobie dziś sprawę z faktu, że konsekwencje jej „leczenia" mogą być nieodwracalne. **„Muszę znaleźć chirurga plastycznego do rekonstrukcji piersi i zobaczymy, co będzie możliwe. Cała tkanka zniknęła, obszar jest całkowicie płaski i sztywny. Nie mam już bioder, moje ramiona są większe, mam też suchość pochwy i atrofię, co bardzo mnie martwi i sprawia, że wszystko jest bolesne i mało funkcjonalne. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie być matką"** - ubolewa.

25-latka założyła konto na YouTube, gdzie opowiada swoją historię. Chce dotrzeć do jak największej liczby osób, by im pomóc, by nie musiały przechodzić przez to, co ona przeszła.

„Czuję, że społeczność transseksualna, lekarze, naprawdę czepiają się najbardziej wrażliwej rzeczy, jaką mamy. Mam zaburzenie osobowości borderline i wiem, że to właśnie spowodowało moją tranzycję. Jednym z objawów jest brak tożsamości i moi lekarze o tym wiedzieli, powiedziałam im o tym, a ich to nie obchodziło. Dla nich nie byłam szczęśliwa jako dziewczyna, więc oznaczało to, że byłam chłopcem i transseksualistką, więc po prostu wzięłam lekarstwo, które mi oferowali. Powiedzieli mi, że mnie wyleczą i że nie będę już chciała się zabić, a to nie była prawda. Straciłam przez to wiele rzeczy i mam tylko nadzieję, że każdy, kto przechodzi przez to, przez co ja przechodziłam jako dziecko, nie dostanie recepty na hormony lub operację. Istnieje wiele zaburzeń psychicznych, które sprawiają, że nienawidzisz swojego ciała, a rozwiązaniem nie jest zmiana ciała, ale naprawienie mózgu. Społeczność transseksualna mówi ci, żebyś zabił swoje stare ja, mówią ci nawet, że od teraz masz martwe imię. Naprawdę czuję się, jakbym zrobiła to wszystko, czuję się, jakbym zabiła dziewczynę, która była mną" - wyjaśnia w jednym z filmów.

MOSLEY POZYWA LEKARZY

Okaleczona kobieta dziś oskarża o oszustwo swojego lekarza, chirurga i wszystkich lekarzy, którzy pomogli jej w „zmianie płci", gdy była nieletnia. Złożyła już pozew w Gaston County Superior Court w Północnej Karolinie w USA.

Mosley zarzuca medykom oszustwo, błąd w sztuce lekarskiej, spowodowanie cierpienia emocjonalnego oraz nieuczciwe i wprowadzające w błąd praktyki biznesowe podczas leczenia jej choroby psychicznej i procesu tranzycji.

Reprezentuje ją kancelaria prawna, która specjalizuje się w usługach prawnych dla osób poszkodowanych przez „opiekę potwierdzającą płeć". Prawnicy uważają, że chociaż obecnie w kraju jest zaledwie garstka takich przypadków, to w nadchodzących latach będzie ich znacznie więcej.

Mosley wypowiedziała się na Niezależnym Forum Kobiet, potępiając to, co ją spotkało. Wywiad ten został szybko ocenzurowany przez YouTube, który ostrzega, że „ten film może być nieodpowiedni dla niektórych użytkowników".

Na podstawie:

https://gaceta.es/estados-unidos/una-joven-demanda-a-los-medicos-que-la-practicaron-un-cambio-de-sexo-me-dijeron-que-me-estaban-curando-y-que-ya-no-querria-suicidarme-y-no-era-verdad-20230727-0555/

ŚWIAT

Zbadają obozy koncentracyjne na brytyjskiej wyspie

WYSPA ALDERNEY PODCZAS HOLOKAUSTU ODEGRAŁA ZNACZĄCĄ ROLĘ. DO TEJ PORY NIGDY NIE PRZEPROWADZONO JEDNAK FORMALNEGO DOCHODZENIA W SPRAWIE LICZBY ZGONÓW, KTÓRE MIAŁY TU MIEJSCE – ZAUWAŻA DZIENNIK „THE JERUSALEM POST".

Na wyspie Alderney leżącej na kanale La Manche podczas okupacji niemieckiej istniały dwa obozy koncentracyjne. Wiadomo o nich już od jakiegoś czasu, jednak nigdy nie zbadano, jak dużo zgonów miało w nich miejsce. Brakuje też wiedzy na temat rozmiaru i skali prowadzonych tam przez SS operacji.

Brak danych

Oficjalnie wiadomo tylko o ośmiu Żydach zamordowanych na wyspie. Część historyków szacuje jednak, że w obu obozach zginęło co najmniej 700 tys. Żydów i przedstawicieli innych grup, uznanych przez nazistów za niepożądane.

Do tej pory potwierdzono, że miał miejsce co najmniej jeden transport setek francuskich Żydów na wyspę. W wywiadzie dla „The Observer" profesor Anthony Glees powiedział: **„Byłbym zaskoczony, gdyby liczba zabitych przez nazistów na Alderney lub przetransportowanych z Alderney do obozów zagłady w Europie nie sięgała tysięcy".**

Z kolei dla magazynu „Index on Censorship" wypowiedziała się Caroline Sturdy Colls, profesor archeologii konfliktów z Uniwersytetu Staffordshire. **„Z szerokiej gamy dostępnych świadectw i badań, które przeprowadziliśmy w obozach, w których przetrzymywano Żydów, wynika, że byli oni traktowani okropnie i prawdopodobnie zginęło ich więcej, niż wiemy"** – stwierdziła.

Warunki, w jakich przebywali Żydzi, nie odbiegały od tych, w jakich przetrzymywano ich w innych częściach Europy. Stosowano tu równie surowe kary i tortury, a warunki pracy i życia były straszne.

Dochodzenie zostanie oficjalnie ogłoszone, jeszcze tego lata przez Lorda Picklesa, brytyjskiego wysłannika ds. holokaustu.

„Różnica między szacunkami jest tak duża, że uznałem za rozsądne, aby wszyscy przedstawili fakty, by wszystko stało się przejrzyste. Wydaje się, że nie ma sensu, by ludzie przekrzykiwali się nawzajem. Lepiej byłoby przeprowadzić właściwą dyskusję i zebrać panel międzynarodowych ekspertów" – powiedział Pickles w wywiadzie dla „The Observer".

„Nadszedł czas, aby brytyjski rząd i władze Alderney w końcu zmierzyły się z horrorem, jaki wydarzył się na brytyjskiej ziemi. Nie może być więcej kłamstw i tuszowania sprawy" – powiedziała „The Guardian" Margaret Hodge, posłanka Partii Pracy. Temat jest jej szczególnie bliski, gdyż jej ojciec uciekł z Niemiec przed nazistowskimi prześladowaniami.

Poparcie ekspertów

Międzynarodowi eksperci są zadowoleni z podjętej przez Brytyjczyków decyzji.

„To dochodzenie jest znaczącym krokiem w kierunku opowiedzenia tej ważnej historii. Otwarte i dokładne zajęcie się Holokaustem i historią nazistowskich prześladowań innych grup we wszystkich jej wymiarach, ma kluczowe znaczenie i oczekujemy, że wyniki przyczynią się do ujawnienia faktów, bez względu na to, jak niewygodne mogą one być" – powiedziała „Guardianowi" dr Kathrin Meyer, sekretarz generalna IHRA.

Gary Mond, przewodniczący National Jewish Assembly (NJA) w Wielkiej Brytanii, w rozmowie z „The Jerusalem Post" stwierdził, że „Lord Pickles ma rację. Ważne jest, aby w miarę możliwości uzyskać jak najwięcej dokładnych informacji na temat nazistowskich okrucieństw w Alderney podczas wojny i upublicznić je. Jeśli w ten sposób możemy poszerzyć wiedzę na temat Holokaustu dla przyszłych pokoleń, to jest to pomocne".

„Rewelacje dotyczące komendanta obozu Hoffmana, powinny nam wszystkim przypomnieć, że zbyt wielu nazistowskich zbrodniarzy wojennych uniknęło sprawiedliwości" – dodał.

I kontynuował: „Ważne jest, aby przypadki nienawiści do Żydów w naszym kraju były zawsze nagłaśniane i nie tuszowane. Uważam, że w ostatnich latach pojawiła się większa tendencja, by to robić, czego dobrymi niedawnymi przykładami są zarówno uznanie antysemityzmu Roalda Dahla, jak i potępienie, niestety zbyt częstych niewłaściwych porównań współczesnych wydarzeń do nazistów i Holokaustu".

Niemiecka okupacja wyspy

Winston Churchill w 1940 r. podjął decyzję o zaprzestaniu obrony wyspy przed nazistami. Mieszkańcy zostali ewakuowani, a Niemcy stworzyli tu obozy.

Wielu więźniów zostało zabitych przez „Vernichtung durch Arbeit", czyli eksterminację przez pracę. Innych rozstrzelano, otrzymali śmiertelny zastrzyk lub zostali wysłani do jednego z obozów zagłady w Europie.

Na podstawie:

https://www.jpost.com/archaeology/article-752071?utm_source=jpost.app.apple&utm_medium=share

GOSPODRKA

Niemiecka gospodarka notuje kolejne spadki

Niemcy miały jasny plan energetyczny: zakończyć energię jądrową i oprzeć się na ogromnych ilościach taniego gazu z Rosji. Jednak rosyjska inwazja na Ukrainę pokazała, jak fatalna w skutkach była ta decyzja. Wszystkie prognozy zapowiadały ciężką zimę w niemieckich landach - i to do tego stopnia, że pojawiały się nawet głosy o konieczności racjonowania energii w gospodarstwach domowych.

Zima była jednak łaskawie łagodna, przez co niemiecka gospodarka uległa tylko stopniowej stagnacji. Jednak ciepła zima nie oszczędziła wyników niemieckiej gospodarki - kolejne dane ukazały mocny spadek.
Nie wiadomo jeszcze dokładnie, jak w Niemczech wyglądał drugi kwartał, ponieważ oficjalne dane dopiero zostaną ogłoszone. Wskaźniki jednak nie dają podstaw do optymizmu. Co prawda dane obejmujące początek kwartału pokazywały powrót do ekspansji, jednak z nowszych statystyk wynika coś odwrotnego.

Według najnowszych danych niemiecka produkcja przemysłowa w maju zmniejszyła się o 0,2 proc. w porównaniu do poprzedniego miesiąca (w kwietniu wzrosła o 0,3 proc.). Ten spadek to nie tylko zniwelowanie większości kwietniowego wzrostu, ale też wskazówka, że nie udało się odrobić spadku z marca. Jeśli w czerwcu produkcja zmniejszy się o kolejne 0,2 proc., łączny spadek w drugim kwartale wyniesie 0,7 proc.

Jeszcze gorzej wyglądają perspektywy na przyszłość. Obecnie produkcja w Niemczech wciąż utrzymuje się na poziomie 5 proc. poniżej poziomi sprzed pandemii - a mijają już ponad trzy lata od jej rozpoczęcia. Dzieje się tak z trzech następujących kolejno powodów: po pierwsze, koronawirus wywołał paraliż gospodarczy; po drugie, nastąpił kryzys energetyczny; po trzecie wreszcie, obniżył się popyt na towary - początkowo przez preferowanie usług, później przez podwyżkę stóp procentowych.

„Perspektywy dla niemieckiego przemysłu są słabe. Ankiety dotyczące produkcji i oficjalne dane dotyczące czerwca wskazują na dalszy spadek produkcji przemysłowej. Ogólnie rzecz biorąc, słaby krajowy i zewnętrzny popyt prawdopodobnie będzie coraz bardziej ciążył na produkcji. Spodziewamy się, że spadek produkcji przemysłowej będzie jednym z czynników utrzymujących niemiecką gospodarkę w recesji do końca tego roku" - ocenia Franziska Palmas z Capital Economics.
Podobne zdanie ma strateg ING Carsten Brzeski: „Optymizm z początku roku wydaje się ustępować miejsca większemu poczuciu rzeczywistości. Oczekiwania dotyczące produkcji nadal słabną, portfel zamówień znacznie się skurczył, pomimo odbicia w maju, a gromadzenie zapasów jeszcze się nie skończyło. Jest to toksyczna kombinacja, sugerująca kolejne rozczarowania w przemyśle w nadchodzących miesiącach.

Co więcej, dobrze znane czynniki strukturalne, takie jak trwająca wojna w Ukrainie, zmiany demograficzne i trwająca transformacja energetyczna, będą nadal obciążać niemiecką gospodarkę w nadchodzących latach".
Brzeski zaznacza, że w ostatnich latach zmniejszyła się międzynarodowa konkurencyjność Niemiec i trend ten raczej będzie postępował. Niedawno Niemiecki Instytut Ekonomiczny wykazał, że odpływ bezpośrednich inwestycji zagranicznych w ujęciu netto miał miejsce w Niemczech jeszcze przed wybuchem pandemii koronawirusa. W latach 2021-2022 odpływ tylko się nasilił. „Niemniej jednak miesięczne dane za pierwsze dwa miesiące drugiego kwartału nie wyeliminowały ryzyka dalszego kurczenia się niemieckiej gospodarki. Byłby to pierwszy raz od 2008 r., kiedy gospodarka kurczyła się przez więcej niż dwa kolejne kwartały" - wskazał Brzeski.
Jednakże w 2008 r. spowolnienie gospodarcze było silniejsze, niż zakładano dla obecnego roku.

Analitycy Bloomberga przewidują roczny spadek gospodarki Niemiec na poziomie tylko 0,3 proc.

Tymczasem kolejne upubliczniane liczby pokazują, że sytuacja w niemieckiej gospodarce jest bardzo dynamiczna. W maju spodziewano się 1-proc. wzrostu w sektorze zamówień przemysłowych, ale z danych wynika, że wzrost ten sięgnął aż 6,4 proc. Nie jest to jednak tak wielki powód do radości, ponieważ ta sytuacja jest tylko wynikiem zbiegu okoliczności - jedynie w kategorii „inny sprzęt transportowy" (do której kwalifikuje się bardzo dużo rzeczy, w tym sprzęt wojskowy czy statki) odnotowano wzrost na poziomie 137 proc., co zaważyło na ogólnym wyniku.

Bardziej pesymistyczne są wyniki indeksu monachijskiego instytutu Ifo. Mierzy on perspektywy dla niemieckich firm - i w tym osiągnął najniższy poziom (88,5 pkt).
Najgorzej sytuacja zapowiada się dla producentów samochodów. Miałoby to wynikać z utrzymującego się od dłuższego czasu niskiego popytu na samochody w skali globalnej.
Instytut ZEW z kolei, który opracował indeks zaufania, odnotowuje kolejne spadki i maj nie był tutaj wyjątkiem. Eksperci z tego instytutu są sceptyczni, jeśli chodzi o możliwość poprawy niemieckiej gospodarki w drugim półroczu.

Niemieckie fabryki miały do tej pory dość dobre wyniki, ale był to skutek większych zaległości w realizacji zamówień wcześniej niemożliwych do spełnienia z powodu problemów w łańcuchach dostaw. Jednak ten zapas już się wyczerpuje, co budzi obawy, że obecny poziom produkcji nie będzie mógł zostać utrzymany.
W ostatnim czasie niemiecka baza produkcyjna ciągle napotyka jakieś trudności. Należą do nich tak odległe zjawiska, jak spadek popytu w Chinach (który jest wynikiem m.in. tamtejszej strategii walki z pandemią) czy obniżenie poziomu wody w Renie (którym transportowana jest większość ciężkich towarów). Ekonomiści ZEW przestrzegali przed perspektywą osłabienia globalnego eksportu za sprawą spadku popytu na tak wielkich rynkach, jak chiński czy amerykański.
W maju niemiecki eksport znów okazał się słabszy. W marcu spadł gwałtownie, w kwietniu lekko wzrósł, ale nie udało się utrzymać dodatniej tendencji - w maju spadł o 0,1 proc. w porównaniu do wcześniejszego miesiąca.
W rocznym ujęciu eksport okazał się niższy o 0,7 proc. Od ubiegłego lata niemiecki eksport cechował się bardzo dużą zmiennością, aczkolwiek ogólny trend pozostaje spadkowy.
„Handel nie jest już silnym i odpornym motorem wzrostu niemieckiej gospodarki, jakim był kiedyś, ale raczej hamulcem. Tarcia w łańcuchu dostaw, bardziej rozdrobniona globalna gospodarka i Chiny coraz bardziej zdolne do produkcji towarów, które wcześniej kupowały od Niemiec, to czynniki wpływające na niemiecki eksport. W pierwszej połowie roku udział niemieckiego eksportu do Chin spadł do 6 proc., z prawie 8 proc. przed pandemią. Jednocześnie jednak zależność importowa Niemiec od Chin pozostaje wysoka, ponieważ transformacja energetyczna jest obecnie niemożliwa bez chińskich surowców lub paneli słonecznych" - wyjaśnia Brzeski.
„W bardzo krótkim okresie trwające osłabienie portfela zamówień eksportowych, oczekiwane spowolnienie gospodarki amerykańskiej (która stanowi około 10 proc. całkowitego niemieckiego eksportu), wysoka inflacja i wysoka niepewność będą miały wyraźny wpływ na niemiecki eksport.
Jedną z niewielu dobrych stron dla niemieckiego eksportu pozostają kraje Europy Środkowo-Wschodniej, które obecnie odpowiadają za ponad 11 proc. niemieckiego eksportu" - dodaje analityk ING.
Także wskaźnik PMI (indeks menedżerów zakupów powstający na bazie ankiet biznesowych) dla produkcji spadł w czerwcu do wartości 40,6 pkt, a w tym wskaźniku wynik poniżej 50 pkt oznacza recesję. Jest to też najniższy odczyt tego wskaźnika od 2020 r., czyli od czasu pandemii. Od lipca ubiegłego roku wskaźnik ten nieustannie się obniża.

Inaczej prezentuje się wskaźnik PMI dla usług. Sektor usług napędzał gospodarkę Niemiec po pandemii - podobnie zresztą jak w Stanach Zjednoczonych i wielu państwach Europy. Do czerwca wyniki wskazywały na stabilną ekspansję - w maju i kwietniu przekroczyły 56 pkt. W czerwcu jednak wskaźnik ten zaliczył spadek do 54 pkt. Oznaczałoby to potencjalne zużycie sektora stanowiącego teraz podstawę gospodarki.

„Recesja w przemyśle jest nadal równoważona przez solidny popyt w sektorze usług" - napisał w raporcie główny ekonomista frankfurckiego Union Investment Joerg Zeuner. „Nawet jeśli sytuacja w przemyśle nie daje powodów do świętowania, niemiecka gospodarka jest obecnie bardziej skłonna do stagnacji niż do kurczenia się" - zaznaczył. Pojawiają się jednak obawy związane z tym, czy sektor usług zachowa swoją prężność.
Niekorzystnie dla gospodarki wpływają także rosnące koszty pożyczek. Europejski Bank Centralny od zeszłego lata podniósł stopy procentowe o 400 pkt bazowych, co już jest odczuwalne, a nic nie wskazuje na to, by bank centralny zaprzestał podwyżek.
„Uważamy, że pogarszające się oczekiwania podkreślają rosnące ryzyko, że niemiecka gospodarka przedłuży serię spadków PKB w drugim kwartale (obecnie spodziewamy się stagnacji produkcji), a być może i później. Co ważniejsze, biorąc pod uwagę, że oczekuje się, że dezinflacja będzie się stale utrzymywać, wskazuje to na rosnące ryzyko nadmiernego zacieśnienia polityki przez Europejski Bank Centralny" - uważa Mateusz Urban z Oxford Economics.

Na podstawie:
El Economista

GOSPODARKA

Niedopuszczalny francuski protekcjonizm

UNIA EUROPEJSKA PROMUJE MODEL GOSPODARKI WOLNORYNKOWEJ, W KTÓRYM RZĄD DANEGO KRAJU WSPIERA FIRMY Z INNYCH PAŃSTW CZŁONKOWSKICH, PROWADZĄCE DZIAŁALNOŚĆ GOSPODARCZĄ NA JEGO WŁASNYM TERYTORIUM. WEDŁUG „EL ECONOMISTA" HISZPANIA WRĘCZ WZORCOWO SPEŁNIA TE WYTYCZNE, NIE MOŻE JEDNAK LICZYĆ NA WZAJEMNOŚĆ INNYCH KRAJÓW.

Unia Europejska powinna być wolnym rynkiem, na którym wszystkie państwa członkowskie konkurują ze sobą na równych zasadach.

Hiszpania może być tu wzorem dla innych, a jednym z przykładów jest liberalizacja kolei, która doprowadziła do wejścia na rynek takich firm,

jak Iryo i francuski SNCF, który poprzez Ouigo już konkuruje z Renfe w segmencie szybkich kolei.
Niestety, wygląda na to, że inne kraje nie odwzajemniają się w podobnym stopniu. Co więcej, gdy to hiszpańska firma chce wejść na zagraniczny rynek, rzucane są jej kłody pod nogi.
Z wieloma problemami Hiszpanie spotykają się w Niemczech, ale jeszcze bardziej we Francji.
W przypadku tej drugiej, z powodu francuskiej biurokracji, hiszpańskie przedsiębiorstwo kolejowe Renfe musi opóźnić swoje wejście nad Sekwanę, co najmniej do 2024 r. Francja też blokuje i uniemożliwia budowanie „Korytarza Śródziemnomorskiego", czyli priorytetowych sieci transportowych mających na celu ułatwienie komunikacji osób, towarów i usług w całej Unii Europejskiej, gdyż nadal nie dostosowała torów do hiszpańskiej kolei dużych prędkości. To samo dzieje się z połączeniami elektrycznymi, ponieważ Francja odmawia ich przedłużenia.
Co więcej, uruchomienie produkcji samochodów Peugeot e-208 w Hiszpanii bardzo nie spodobało się Paryżowi, który zaatakował tę firmę motoryzacyjną. Minister gospodarki Bruno Le Maire wezwał do „patriotyzmu", a jako środek nacisku wykorzystał m.in. pomoc publiczną, jaką producent otrzymał od Francji.
Widać więc wyraźnie brak wzajemności Francji wobec Hiszpanii.
To niedopuszczalny protekcjonizm, który jest sprzeczny z zasadami i celami Unii Europejskiej.
Jest oczywiste, że Komisja Europejska powinna podjąć odpowiednie działania i promować uczciwą konkurencję między krajami.

Na podstawie:
https://www.eleconomista.es/opinion/noticias/12376439/07/23/inaceptable-proteccionismo-frances.html

Dług publiczny wciąż problemem w UE

Dane Eurostatu za I kwartał 2023 odnośnie do długu publicznego pokazują kilka istotnych faktów. Przede wszystkim wiele państw UE ma bardzo poważny problem zadłużeniem. Problem, którego nie udaje się rozwiązać już od wielu lat. Aż 6 z 27 państw należących do UE ma poziom zadłużenia w relacji do PKB powyżej 100 proc. Dodatkowe 7 to te, w których ten wskaźnik przekracza 60%.

Wymóg osiągnięcia poziomu zadłużenia do PKB nie większego niż 60%, wynika z traktatów unijnych. Mianowicie art. 126 Traktatu o Funkcjonowaniu Unii Europejskiej stanowi, że Komisja Europejska bada wysokość deficytów i długów publicznych państw członkowskich. Wysokości referencyjne dotyczące zarówno poziomu deficytu jak i długu określone są w Protokole 12 do tego traktatu. Dotyczy on (ów protokół) procedury nadmiernego deficytu i stanowi, że nie może on przekraczać 3% produktu krajowego brutto, zaś dług publiczny nie powinien być wyższy od 60% PKB. Co istotne w art. 126 ust. 2 lit b) czytamy, że Komisja bada „czy stosunek między długiem publicznym a produktem krajowym brutto przekracza wartość odniesienia, chyba że stosunek ten zmniejsza się dostatecznie i zbliża się do wartości odniesienia w zadowalającym tempie". Ostatni fragment jest kluczowy. Daje ono możliwość faktycznego ignorowania wysokości długu publicznego, jeśli zmniejsza się on w zadowalającym tempie. To o tyle ciekawe, że trudno uznać, co to znaczy „zadowalające tempo". Jest to na tyle uznaniowe, że w praktyce kryterium długu publicznego jest de facto pomijane w procedurze nadmiernego deficytu, najważniejsze jest roczne saldo budżetowe.
Czemu tak jest? Odpowiedź wydaje się oczywista. Niemal połowa państw należących do UE nie czyni zadość kryterium wysokości długu publicznego. Wiele z nich ma z tym problemy od wielu lat i raczej niewiele wskazuje na to, że w dającej się przewidzieć przyszłości, poziom zadłużenia wróci do wymaganej traktatem normy. Problemy z długiem mają nie tylko kraje południowej Europy, takie jak Grecja czy Włochy. To także poważny kłopot dla Francji, której zadłużenie od lat oscyluje, a ostatnio nawet wyraźnie przekracza 100% PKB. Powyżej poziomu 60% są także Niemcy i to od wielu lat. Z kilkoma wyjątkami kwestia nadmiernego zadłużenia publicznego dotyka niemal wszystkich krajów tzw. starej Unii.
Znacznie lepiej pod tym względem wypada nasza część Europy. W gronie państw z długiem powyżej 60% jest jedynie Słowenia. Bardzo dobrze sytuacja wygląda jeśli chodzi o Estonię i Rumunię, dwa państwa z najniższym zadłużeniem w całej Unii. Polska jest także w czołówce jeśli chodzi o niski poziom zadłużenia publicznego. Relacje dług publiczny/PKB wynosi u nas 48,1%, bardziej zadłużonych od nas jest aż 17 państw członkowskich. To potwierdza opinię o tym, że sytuacja polskich finansów publicznych jest dobra i stabilna, chociaż okoliczności ostatnich lat wcale nie były sprzyjające. Oprócz szoku dla finansów publicznych, wynikającego z pandemii, pojawił się w krótkim czasie kolejny, mowa oczywiście o rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Pomoc dla uchodźców i tarcze związane z ekonomicznymi skutkami tej inwazji, były bardzo kosztowne dla budżetu państwa. W efekcie jednak nie doszło do załamania finansów publicznych, a zadłużenie publiczne w porównaniu z I kwartałem 2022 r. (przypomnijmy wojna wybuchła w lutym 2022 r.) spadło nawet w relacji do PKB o niemal 4 pkt. procentowe. Biorąc pod uwagę skalę wydatków, to znaczący spadek.
Krytycy wskazują, że taka sytuacja do głównie zasługa inflacji, która zwiększa nominalne wpływy budżetowe oraz nominalne PKB, co pozytywnie, acz krótkookresowo poprawia sytuację finansów publicznych. To fakt, że inflacja pomaga budżetowi, niemniej trzeba pamiętać także o tym, że dług publiczny Polski malał w szybkim tempie także przed tym, zanim pojawiła się inflacja. Pamiętać trzeba także i o tym, że walcząc z inflacją wprowadzono szereg rozwiązań podatkowych, które zmniejszyły wpływy podatkowe, co nie powinno być przecież uznawane za coś pozytywnie wpływającego na poziom zadłużenia. Produkt krajowy brutto zwiększył się zaś w szybkim tempie nie tylko w ujęciu nominalnym, ale co kluczowe, nasze PKB zwiększyło się realnie w 2022 r. aż o 5,1%.
Finanse publiczne mają więc solidny fundament w postaci silnej i odpornej gospodarki, wspartej przez niskie bezrobocie. Trudno zatem wszystko zrzucić na okoliczności, chociaż to narracja powszechnie stosowana od 7 lat, praktycznie od momentu kiedy Zjednoczona Prawica doszła do władzy.

Problem wielu państw UE z zadłużeniem ma charakter strukturalny, wynika z tego, że znaczna część z nich rozwija się w bardzo wolnym tempie. Oprócz tego, kraje południowej Europy mają poważny problem z wysokim bezrobociem. To wszystko zaś negatywnie oddziałuje na bazę podatkową i niekorzystnie wpływa na możliwości zmniejszenia zadłużenia publicznego. Od lat niewiele się w tym obszarze zmienia, i wydaje się, że także najbliższe lata nie będą przełomowe. Szczególnie w środowisku wysokich stóp procentowych i rosnących rentowności emitowanego długu.

autor:
Kamil Goral

EKOLOGIA

350 mln euro z Unii dla hiszpańskiej energetyki

W ten sposób Hiszpania chce zwiększyć ilość energii elektrycznej wytwarzanej z odnawialnych źródeł, jednocześnie zmniejszając straty w okresach nadprodukcji, a także zwiększyć bezpieczeństwo całego systemu produkcji energii w kraju.
Firma konsultingowa Aurora Energy Research opublikowała w kwietniu raport, z którego wynika, że największe problemy z hiszpańską energią odnawialną związane są z siecią przesyłową. Efektem jest wzrost emisji CO2 oraz kosztów, które ponoszą operatorzy, by zachować ciągłość dostaw prądu.
Margrethe Vestager, wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej, która odpowiada za konkurencyjność, powiedziała, że to dobry przykład tego, jak należy wspierać „wytwarzanie energii elektrycznej ze źródeł odnawialnych zgodnie z celami Europejskiego Zielonego Paktu i bez zakłócania konkurencji na jednolitym rynku".
Środki unijne przeznaczone na ten program będą dystrybuowane jako dotacje inwestycyjne i posłużą do budowy instalacji magazynowych pod warunkiem, że będą miały one minimalną moc rzędu 1000 MW. Jeden beneficjent będzie mógł otrzymać maksymalnie 50 mln euro.
Rozstrzygnięcie projektów ma nastąpić do końca przyszłego roku, a do 2026 r. instalacje zbudowane w ramach tych dotacji powinny zostać uruchomione. Wyjątek stanowią magazyny związane z energią wodną, gdzie uruchomienie ma nastąpić najpóźniej w 2030 r.
Komisja Europejska uznała takie rozwiązanie za „konieczne", a jednocześnie „odpowiednie", by przyspieszyć rozwój magazynów energii elektrycznej. Ma także działanie stymulujące, bo projekty realizowane z dotacji nie powstałyby bez publicznego wsparcia.
Przyznany Hiszpanii fundusz stanowi część Planu Odbudowy, w którym mowa między innymi o uruchomieniu większej liczby magazynów energii elektrycznej. Jest to także zgodne z celami Zielonego Pakietu oraz planu RePower UE, który ma uniezależnić kraje europejskie od rosyjskich paliw kopalnych.
Przedłużenie pomocy dla portów lotniczych
Komisja Europejska zdecydowała także, że wydłuży program pomocowy oferowany regionalnym portom lotniczym. Został on przyjęty w 2014 r. i miał trwać do 2024 r. Polegał na udzielaniu pomocy finansowej regionalnym portom lotniczym państw członkowskich. Za regionalne porty uznano takie, które rocznie nie obsługują więcej niż 3 mln pasażerów, ale po pomoc mogły się zgłaszać także lotniska, które obsługiwały rocznie nie więcej niż 700 tys.
Ponieważ pandemia oraz kryzys energetyczny, będący konsekwencją wojny na Ukrainie, wpłynęły negatywnie na koszty operacyjne regionalnych portów lotniczych, Komisja Europejska postanowiła wydłużyć skierowany do nich program pomocowy o trzy lata – dokładnie do 4 kwietnia 2027 r. Celem Brukseli jest zachowanie lotnisk, które w innym wypadku mogłyby zostać zamknięte, a co za tym idzie – wpłynąć negatywnie na łączność transportową w obrębie Unii.

Na podstawie:
El Economista

Stacje ładowania aut elektrycznych co 60 km – nowy pomysł Brukseli

ROZPORZĄDZENIE W SPRAWIE INFRASTRUKTURY PALIW ALTERNATYWNYCH (AFIR) ZOSTAŁO ZATWIERDZONE PRZEZ UNIĘ EUROPEJSKĄ. DOTYCZY ROZBUDOWY INFRASTRUKTURY ŁADOWANIA POJAZDÓW ELEKTRYCZNYCH. ZGODNIE Z NIM NA GŁÓWNEJ SIECI DROGOWEJ UNII EUROPEJSKIEJ, PUNKTY ŁADOWANIA POJAZDÓW ELEKTRYCZNYCH POWINNY ZNAJDOWAĆ SIĘ W ODLEGŁOŚCI NIE WIĘKSZEJ NIŻ 60 KM, A W PRZYPADKU INNYCH DRÓG SIECI TRANSEUROPEJSKIEJ, CO 100 KM – PISZE „LA GACETA".

Rządy państw członkowskich – zgodnie z przyjętym rozporządzeniem – powinny zapewnić przewidzianą liczbę punktów ładowania do końca 2025 r. W kolejnym roku w głównych korytarzach transportowych Unii Europejskiej powinny też się pojawić punkty szybkiego ładowania przeznaczone dla aut dostawczych i osobowych o mocy minimum 150 kW.
Oprócz tego w porozumieniu uwzględniono wykorzystanie wodoru, który ma stanowić alternatywę wspomagającą „zrównoważoną mobilność". Do 2030 r. przewidziano więc rozbudowę stacji tankowania wodoru, które miałyby tworzyć węzeł instalacji obsługujących samochody osobowe i ciężarowe, oddalonych od siebie o maksymalnie 200 km.
Dokument wskazuje przy okazji, że punkty tankowania powinny umożliwiać płatności bezgotówkowe (kartą lub urządzeniami zbliżeniowymi), bez konieczności wykupywania abonamentu, jednocześnie zapewniając „całkowitą przejrzystość płatności".
Uwzględniono też transport morski. Porty morskie przyjmujące statki pasażerskie i kontenerowce będą musiały zadbać o infrastrukturę elektryczną, umożliwiającą ładowanie tych statków z lądu. Mają czas do 2030r.
Hiszpańska minister transportu Raquel Sánchez uznała nowe rozporządzenie za „ważny kamień milowy" we wdrażaniu polityki klimatycznej, znanej jako Fit for 55, której zadaniem jest zwiększenie możliwości ładowania pojazdów elektrycznych w miastach i na drogach Europy. „Oczekuje się, że w niedalekiej przyszłości ładowanie samochodów elektrycznych będzie tak łatwe, jak tankowanie na tradycyjnych stacjach benzynowych" – zapowiedziała.

Mimo wszystko w Hiszpanii rozporządzenie to może budzić pewne niepokoje. Kraj ten ma obecnie 25106 punktów ładowania pojazdów elektrycznych, ale... nie wszystkie działają. Co więcej, stawianie na elektromobilność okazało się już kłopotliwe dla hiszpańskich sił bezpieczeństwa. Ze względu na niewystarczającą liczba dostępnych (i działających) stacji ładowania, już kilka pojazdów patrolowych przestało działać. Z 380 nowych samochodów hiszpańskich sił bezpieczeństwa 230 ma napęd elektryczny, a 150 hybrydowy. Wdrażanie planu zwiększania elektromobilności okazało się jednak kłopotliwe, wobec braku odpowiedniej infrastruktury.

Na podstawie:
https://gaceta.es/europa/bruselas-obligara-a-espana-a-tener-cargadores-para-vehiculos-electricos-cada-60-kilometros-20230726-2016/

POLSKA

„Deregulacja potrzebna od zaraz" - ciąg dalszy artykułu ze strony 1

Tyle tylko, że owa kwota stanowi jedynie mniej, niż 0,5 proc. wpływów zapisanych w planie budżetu na rok 2023, opiewających na kwotę 286,3 mld złotych.

Zmiany istotne dla przedsiębiorców

Aby utrzymać wysokie tempo rozwoju kraju oraz rozwiązać problem malejącej liczby urodzeń, konieczne jest pilne uchwalenie Ustawy o ułatwieniach w przygotowaniu i realizacji inwestycji mieszkaniowych oraz inwestycji towarzyszących.
Cel tej inicjatywy legislacyjnej to ułatwienie prowadzenia inwestycji mieszkaniowych na podstawie specustawy, w tym zniesienie limitu miejsc parkingowych.

Proponowana zmiana dotyczy:
- ponad 41 tys. przedsiębiorców z branży budowlanej (wznoszenie budynków) oraz przedsiębiorców z branż związanych z inwestycjami budowlanymi (w budownictwie zatrudnionych jest ok. 1,2-1,3 mln osób);
- osób chcących nabyć mieszkanie (zwiększenie podaży).

Oprócz tego jest to realizacja obietnicy wyborczej Prawa i Sprawiedliwości – zwiększenia liczby mieszkań dostępnych dla szerokich grup obywateli.

Przedsiębiorcy oczekują także uchwalenia Ustawy o systemie ubezpieczeń społecznych. Istotą proponowanej zmiany jest zniesienie limitu czasowego dla tzw. małego ZUS-u plus, którego pozytywnym skutkiem byłoby również wzmocnienie pozycji obywateli i przedsiębiorców w sporach z ZUS-em.

Takie rozwiązanie jest istotne dla:

- 235,7 tys. przedsiębiorców, którzy aktualnie korzystają z tzw. małego ZUS-u plus oraz potencjalnie dużej liczby osób, które po zmianie podejmą działalność gospodarczą w rozmiarach pozwalających im na korzystanie z tzw. małego ZUS-u plus;
- ponad 17,6 mln pracowników w Polsce oraz dla ponad 2,3 mln przedsiębiorców – każdy może znaleźć się w sytuacji spornej z ZUS-em.

Deregulacja powinna także objąć Kodeks cywilny w zakresie złagodzenia formy wymaganej do zawarcia umowy leasingu (forma dokumentowa, zamiast formy pisemnej). Na takie rozwiązanie oczekuje nawet 1 mln przedsiębiorców (w 2021 r. 900 tys. przedsiębiorców zawarło umowy leasingu; szacuje się, że w 2023 r. zostaną zawarte umowy leasingu o wartości 95 mld zł).

Kolejnym aktem prawnym wymagającym zmiany jest Prawo przedsiębiorców, które powinno wprowadzić roczny (zamiast miesięcznego) limit przychodów uprawniający do prowadzenia tzw. działalności nieewidencjonowanej.

Taka regulacja jest bardzo ważna dla ok. 32 tys. osób już prowadzących taką działalność oraz dla potencjalnie dużej liczby osób, które po zmianie, taką działalność podejmą.

Konieczne jest również uwzględnienie w Prawie o ruchu drogowym możliwości czasowego wycofania z ruchu dowolnego pojazdu. Oczekuje na to ponad 26 mln właścicieli samochodów osobowych, a wśród nich duża część polskich przedsiębiorców.

Korzyści dla przedsiębiorców:
- przedsiębiorcy z branży budowlanej: ułatwienia w realizacji inwestycji mieszkaniowych na podstawie specustawy (m.in. indywidualnie ustalana liczba miejsc parkingowych, uelastycznienie wskaźnika powierzchni usługowej, zniesienie niektórych biurokratycznych obowiązków, wydłużenie obowiązywania ustawy o 2 lata);
- mikroprzedsiębiorcy: możliwość bezterminowego korzystania z tzw. małego ZUS-u plus przez osoby uzyskujące roczne przychody do 120 tys. zł;
- wszyscy przedsiębiorcy: możliwość zawierania umów leasingu w formie dokumentowej – oszczędność czasu i pieniędzy,
- możliwość wycofania z ruchu dowolnego pojazdu – oszczędność pieniędzy,
- wzmocnienie pozycji w sporach z ZUS-em.

Dodatkowo zmiany dotyczące limitu przychodów uprawniających do prowadzenia tzw. działalności nieewidencjonowanej oraz zniesienie limitu czasowego korzystania z tzw. małego ZUS-u plus spowodują, że tzw. działalność nieewidencjonowaną i działalność gospodarczą (o niewielkich rozmiarach) będą podejmować nowe osoby.

Zmiany istotne dla społeczeństwa obywatelskiego

Wzmocnienie społeczeństwa obywatelskiego jest filarem rozwoju demokratycznego Państwa.
Realizacji tego zadania sprzyjać powinno uchwalenie zmian w Ustawie o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie. Chodzi o uproszczenie w prowadzeniu księgowości (brak obowiązku prowadzenia pełnej księgowości do kwoty 300 tys. zł przychodów).

Na tę deregulację oczekuje ok. 130 tys. organizacji pozarządowych (zrzeszających przynajmniej kilkaset tysięcy osób).

Nie wolno zapomnieć o środowisku wiejskim, które zwłaszcza w Polsce ma istotny wpływ na kształtowanie postaw obywatelskich. W kraju działa ok. 11 tys. kół gospodyń wiejskich (zrzeszających ponad 110 tys. członków), które z radością przyjmą zmianę Ustawy o kołach gospodyń wiejskich. Deregulacja powinna spowodować uproszczenie w prowadzeniu księgowości (brak obowiązku prowadzenia pełnej księgowości do kwoty 300 tys. zł przychodów).

Ważnym czynnikiem rozwoju społeczeństwa obywatelskiego jest również sport. Jego rozwój ułatwiłaby z kolei regulacja wprowadzająca możliwość „przepisania" klubu sportowego wpisanego do ewidencji starosty do Krajowego Rejestru Sądowego – bez konieczności rozwiązania istniejącego klubu i zakładania nowego.

Zmiany o charakterze wolnościowym – istotne dla dwóch licznych grup społecznych

Skomplikowana sytuacja międzynarodowa oraz zagrożenia wynikające z agresji Rosji na Ukrainę wymagają pilnych zmian w Ustawie o broni i amunicji.
Chodzi o ograniczenie dowolności organów (kreowania pozaprawnych warunków uzyskania pozwolenia) przy wydawaniu pozwoleń na broń.
To kwesta szczególnie istotna dla 287 tys. osób posiadających pozwolenie na broń (w 2022 r. wydano 37,4 tys. pozwoleń) oraz osób, które chciałyby uzyskać pozwolenie na broń i dla wszystkich, którzy nie akceptują dowolnego działania organów Państwa w tej sferze.

Należy również zmienić Prawo łowieckie, które nie powinno ograniczać możliwości brania biernego udziału w polowaniach przez osoby, mające ukończony 15. rok życia. Sprawa ta ma znaczenie dla ok. 130 tys. myśliwych oraz ich rodzin i sympatyków łowiectwa, a także dla wszystkich, dla których ważna jest pełna realizacja konstytucyjnego prawa rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami.
Pozostaje więc zaapelować do Pani Marszałek Elżbiety Witek o wprowadzenie tych oczywistych noweli do porządku obrad najbliższego posiedzenia Sejmu i uchwalenia ich bez zbędnej zwłoki, aby stworzyć warunki do pełnej realizacji deklaracji Prawa i Sprawiedliwości.

Autor:
Maciej Małek

O przyszłości Unii dyskutować trzeba, tylko jak?

Pisałem już, że rzeczowa dyskusja na temat tego jak powinna wyglądać Unia Europejska jest w Polsce bardzo trudna. Wynika to z kilku powodów, o których chciałbym napisać poniżej.
Po pierwsze źle zdefiniowanego pole dyskusji. Politycy (a mówiąc precyzyjniej, część klasy politycznej w Polsce), przesadnie skupiają się na kwestii funduszy i to ich wysokość jest dla nich decydująca przy ocenie korzyści z obecności w tej organizacji. Sprawa jest zatem prosta, przelewy netto z Brukseli są dodatnie, a zatem członkostwo się Polsce opłaca. To podejście sprawia, że umyka nam bardzo wiele innych aspektów związanych z obecnością w Unii, o których warto podebatować. Prostata wygrywa kosztem merytoryki.
Drugi problem to polityczne zacietrzewienie. Cześć polityków nad Wisłą uważa instytucje unijne za gwarancję zachowania wpływów swoich środowisk partyjnych. Stąd ciągłe dyskusje o naszym kraju na unijnym forum, inspirowane prawdopodobnie głównie z Polski.
W tym kontekście pomijalna jest rzeczowa analiza tego, co w ostatnich latach dzieje się w UE np. w kwestii polityki klimatycznej. Najważniejsze jest to, że czołówka unijnych polityków gra do tej samej bramki, co politycy opozycji. Wobec tego Bruksela z definicji jest dobra, bez względu na to, co robi. Wszak dzięki unijnym instytucjom i wywieranej przez nie presji na polski rząd, rośnie szansa opozycji na powrót do władzy. Zamiast zatem skupiać się na tym, co jest dobre dla Polski, priorytet ma skupianie się na tym, co jest dobre dla określonego politycznego środowiska.

„O przyszłości Unii dyskutować trzeba, tylko jak?"
- ciąg dalszy artykułu na stronie 18

POLSKA

„O przyszłości Unii dyskutować trzeba, tylko jak?" - ciąg dalszy artykułu ze stroniy 17

Trzeci problem dotyczy ujęcia dynamicznego. O obecności w UE mówimy albo retrospektywnie albo odwołując się do teraźniejszości. Innymi słowy, tkwimy w tym co było, albo skupiamy się na tym, co jest. Tymczasem sama Unia zmienia się w bardzo szybkim tempie. To już nie jest ta sama organizacja, co jeszcze dwadzieścia czy trzydzieści lat temu. Nie będzie też taka sama jak dziś za kolejnych kilkanaście lat. Nie można zatem pozwolić aby dyskusja była zdominowana przez patrzenie w przeszłość. Tu konieczne jest ujęcie ukierunkowane na przyszłość. Co to znaczy? Przede wszystkim otwiera się tu zupełnie inne pole do debaty. Pytanie już nie dotyczy tego, czy Polska korzystała na obecności w Unii, tylko czy będzie na tym korzystała w przyszłości i pod jakimi warunkami. Tego spojrzenia, przynajmniej według mnie, brakuje.

Co zatem wynika z tak zdefiniowanych braków? Przejdźmy do naszej wyliczanki. Po pierwsze dyskutujemy nie o tym, co trzeba. Osią debaty są pieniądze w ramach tego czy innego funduszu. Umyka nam zaś taka kwestia jak konkurencyjność polskich firm, czy szerzej polskiej gospodarki, to czy w pełni wykorzystujemy potencjał rynku wewnętrznego i co ewentualnie zrobić, aby pod tym względem sytuacja wyglądała lepiej? Zamiast tego, z kalkulatorem w ręku liczymy przepływy netto i na tej podstawie oceniamy, czy Unia się nam opłaca. Należy jednak pamiętać, że już za kilka lat Polska może być płatnikiem netto do unijnego budżetu. W myśl tej logiki, kiedy tak się stanie, powinniśmy niezwłocznie pakować manatki i opuszczać tę organizację.
Po drugie, w Polsce ciężko o ponadpartyjny kompromis i jakąś strategię dotyczącą członkostwa, która byłaby efektem takiego porozumienia. Unia nie jest w tym ujęciu miejscem, w ramach którego realizujemy swoje interesy, tylko uczestnikiem politycznego sporu. To zaś bardzo komplikuje obiektywne patrzenie na perspektywy naszego członkostwa. Będzie to bardzo trudno zmienić, ponieważ dla części środowisk Unia jest głównie koalicjantem i sojusznikiem w walce o władzę.
Trzy, brak patrzenie prospektywnego czyni z naszego członkostwa raczej debatę o historii polityczno – gospodarczej niż rzeczową analizę perspektyw na przyszłość. Nie dostrzega się przy w tym spojrzeniu zmian, tylko rozprawia o rzeczywistości, która obecnie wygląda zupełnie inaczej, a za jakiś czas będzie jeszcze inna. Opracowywanie strategii i perspektyw naszego członkostwa w Unii oczywiście powinno uwzględniać przeszłość, ale nie może się na niej skupiać. Musimy pracować nad tym, żeby nasza obecność w UE była opłacalna w kolejnych latach, nie zaś na tym, aby podliczać ewentualne korzyści z ostatnich lat czy dekad. Jeśli mamy poważnie zastanawiać się nad tym, co zrobić aby dzięki obecności w Unii Polska szybko się rozwijała, trzeba zmienić charakter wewnętrznej debaty, jaka obecnie toczy się (lub nie?) na ten temat w naszym kraju. Jak dotąd jest ona zdecydowanie zbyt powierzchowna, żeby nie powiedzieć naiwna. Sentymentalne zachwyty nad Unią przyćmiewają to, że ta organizacja się zmienia i z tych zmian muszą być wyciągnięte wnioski. Tego jednak wciąż brakuje.

Autor:
Kamil Goral

Relokacja czy repatriacja, na marginesie dyskusji wokół pracowników z zagranicy.

W tym kontekście teza opozycji jakoby rząd PiS w sposób niekontrolowany udzielał zezwoleń na prace przybyszom z muzułmańskiego kręgu kulturowego, jawi się jako typowy temat zastępczy. Nie tylko dlatego, że liczba udzielonych zezwoleń nie oznacza automatyzmu w przyznaniu wizy pracowniczej, a jedynie rozpoczyna proces weryfikacji. Także z powodu uregulowanego statusu takiej osoby, potwierdzenia celu przybycia, zgłoszonego zapotrzebowania na fachowca w danej dziedzinie, wreszcie gwarancji zatrudnienia, zdefiniowania miejsca i czasu pobytu. Tylko i aż tyle. Polska gospodarka cierpi na niedobór rąk do pracy i zjawisko ma charakter strukturalnie trwały.

Tyle tylko, że kierowcy z Bangladeszu, Indonezji czy Indii mieliby realną alternatywę, gdyby Polska pamiętała o swoim zobowiązaniu wobec potomków zesłańców po kolejnych powstaniach, czy wywózkach w ramach stalinowskich przesiedleń w czasie II wojny światowej.
Wielu z nich, tylko w pobliskiej Białorusi cierpi represje w związku z wystąpieniem o Kartę Polaka, pomimo że świadomość narodowa niekiedy ogranicza się do modlitwy w języku Ojców i Dziadów. Inni żyją wprawdzie spokojnie, ale bieda i niedostatek zagląda im w oczy również dlatego, że jako potomkowie Polaków są traktowani gorzej w Federacji Rosyjskiej, Kazachstanie czy republikach azjatyckich.

Jeżeli prawdą jest, że jak informował wiceminister MSWiA Błażej Poboży, tylko w minionym roku przyjęliśmy 30 tysięcy imigrantów przybyłych tutaj do pracy, można założyć, że połowę owego zapotrzebowania na rynku pracy mogłyby zaspokoić osoby posiadające polskie korzenie, a często także kartę Polaka. Paradoksalnie wojna w Ukrainie, sprawiła, że wielu pracowników transportu, budownictwa i przemysłu opuściło z dnia na dzień stanowiska pracy, by bronić Ojczyzny napadniętej przez rosyjskiego agresora. Zakłócenia w transporcie publicznym w pierwszych dniach po rosyjskiej agresji odczuła szczególnie Warszawa.

Odrębna kwestia do duże inwestycje zagraniczne. Jeśli bowiem Intel zainwestuje miliardy w centrum badawcze pod Wrocławiem, to także dlatego, że Polski rząd w każde tworzone stanowisko pracy zainwestuje 3 miliony złotych. Pytanie, gdzie trafi wartość dodana oraz kto ostatecznie okaże się beneficjentem tworzonych tą drogą miejsc pracy?!

Już dzisiaj bowiem gros informatyków pracujących we Wrocławiu to przebywający legalnie w naszym kraju przybysze ze Wschodu.
Nasi ambasadorzy i przedstawiciele placówek konsularnych utrzymują kontakty ze środowiskami polonijnymi w krajach, gdzie pełnią misję. Tyle że brak wsparcia ze strony powołanych w tym celu organizacji jak Wspólnota Polska, Komisji Sejmu i Senatu czy Izb Gospodarczych, czyni te działania doraźnymi, pozbawionymi systemowych podstaw, zaplecza materialnego i logistycznego, wreszcie informacji, które trafiałyby do bezpośrednio zainteresowanych.

Dla wielu przybyszy, bez względu na status, drogę, którą przybyli, czy formalne powody udzielenia wizy wjazdowej, jak np. nauka, Polska jest jedynie krajem tranzytowym, „przepustką" do lepszego świata. W przypadku rodaków, czy ich potomków rzecz ma się inaczej, ponieważ argumenty natury merkantylnej, poczucie bezpieczeństwa, czy perspektywa poprawy bytu materialnego wsparte są czynnikami natury emocjonalnej, a także duchowej, wyrosłymi z poczucia przynależności, tradycji, czy wyznania. Jeżeli Pan minister Poboży mówi o braku działań zmierzających do integrowania przybyszy, bo przecież przybyli czasowo do pracy, to łatwe, ale krótkowzroczne wytłumaczenie, a kontenerowe miasteczko powstałe opodal Płocka, na potrzeby inwestycji Olefiny III, będzie niebawem poligonem doświadczalnym, który w praktyce zweryfikuje te założenia. Sprawie tej przyglądaliśmy się wcześniej w związku z wątpliwościami podnoszonymi przez lokalną społeczność.

Konkluzji nie będzie, na to bowiem za wcześnie. Doświadczenia zachodniej Europy skompromitowały zarówno politykę multi-kulti, która okazała się szkodliwą utopią, jak tworzenie enklaw. Gdyż fala przemocy zalewająca Francję to skutek wyobcowania trzeciego już pokolenia przybyszy, urodzonych i wychowanych na ziemi francuskiej. Los okresowych pracowników przypomina bardziej obozy pracy – jak w Katarze – niż warunki zgodne z europejskimi standardami. Pośrednio zresztą wpływa niekorzystnie na warunki pracy, bowiem przybyszom można zapłacić mniej i bez pakietu socjalnego.
Do sprawy wrócimy.

Autor:
Maciej Małek

POLSKA

To nie tak miało być – w 79 rocznicę Powstania Warszawskiego

PIERWSZEGO SIERPNIA O GODZINIE SIEDEMNASTEJ, GDY CAŁY KRAJ ZATRZYMA SIĘ, BY PRZY DŹWIĘKU SYREN UCZCIĆ PAMIĘĆ TYCH WSZYSTKICH, KTÓRZY Z BRONIĄ W RĘKU, PO PIĘCIU LATACH OKUPACYJNEJ NOCY, MIELI ODWAGĘ POWIEDZIEĆ NIE NIEMIECKIEMU CIEMIĘŻCY, ALE TAKŻE SPRZECIWIĆ SIĘ TEMU WSZYSTKIEMU, CO NIOSŁA ZBLIŻAJĄCA SIĘ ZE WSCHODU SOWIECKA NAWAŁA, WARTO PRZYPOMNIEĆ, W IMIĘ JAKICH WARTOŚCI SZLI DO POWSTANIA.

Powstanie Warszawskie nie było – jak to wmawiano Polakom przez dziesięciolecia – chybioną i desperacką próbą zawrócenia biegu historii, by kosztem tysięcy ofiar, a wśród nich blisko 200 tysięcy cywili i zagłady miasta, spełnić fałszywe jakoby kalkulacje polityczne, lecz świadectwem umiłowania wolności, przywiązania do historii, tradycji i kultury, wiary Ojców. Chodziło też o pokazanie światu, kto jest gospodarzem tej ziemi, która jako jedyna w okupowanych krajach, stworzyła funkcjonujące właściwie nieprzerwanie (jeśli za ich początek uznać powołanie 27 września 1939 roku Służby Zwycięstwa Polski), struktury podziemnego państwa. Wszystko, co stało się później; walka zbrojnego podziemia, październik 1956, grudzień 1970, wydarzenia z czerwca 1976 r. w Ursusie i Radomiu, sierpień 1980, wreszcie częściowo wolne wybory i powołanie pierwszego niekomunistycznego rządu w roku 1989, to dziedzictwo i plon wyrosły wprost z tradycji i etosu powstańczego czynu. Jak pisał Aleksander Kamiński w „Kamieniach na szaniec" – wolność, sprawiedliwość, patriotyzm, wierność idei, kształtowały młodych ludzi, którzy nie zawahali się oddać młodego życia w imię tego, w co wierzyli niezachwianie.

Z dzisiejszej perspektywy nie mamy świadomości, jak różne ideowo motywacje inspirowały najbardziej znane powstańcze nazwiska. Nie myślę tutaj o dowódcach wojskowych, lecz młodych utalentowanych twórcach, jak Krzysztof Kamil Baczyński, starszy strzelec, podchorąży Armii Krajowej, podharcmistrz Szarych Szeregów, żołnierz batalionu „Parasol", poległy już 4 sierpnia 1944, a więc na początku Powstania, związany z tradycją PPS, czy Tadeusz Gajcy – syn ślusarza, absolwent gimnazjum Zgromadzenia księży Marianów na Bielanach, w czasie wojny uczestnik tajnego nauczania na polonistyce Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie spotkał Zdzisława Stroińskiego – studenta prawa, który wprowadził Go do konspiracyjnej Konfederacji Narodu powołanej z inicjatywy działaczy Obozu Narodowo-Radykalnego „Falanga". Baczyński związany był z miesięcznikiem społeczno-literackim „Droga", Gajcy, który poległ 16 sierpnia 1944, z miesięcznikiem literackim „Sztuka i Naród". To na jego łamach polemizował ze Skamandrytami, zarzucając im koniunkturalizm i bezideowość. Powojenne losy i wybory, jakże wielu z nich, dowiodły, że miał rację.

Dzisiaj zapominamy, że założeniem akcji „Burza" – stosowny rozkaz dowódca Armii Krajowej gen. Tadeusz Bór-Komorowski wydał jeszcze 20 listopada 1943 – było zainaugurowane operacją „Ostra Brama" w Wilnie 7 lipca 1944, dążenie do samodzielnego wyzwolenia okupowanych przez Niemców terytoriów i powitanie sowietów w „roli gospodarzy". Zatem Powstanie Warszawskie jako zbrojne wystąpienie mające na celu oswobodzenie stolicy państwa, miało być jej kulminacją.

Ważny rozdział w trwającej 63 dni powstańczej epopei zapisali duchowni, którzy w liczbie 150 towarzyszyli powstańcom, jako kapelani poszczególnych pododdziałów i szpitali polowych. O ich heroicznej postawie najlepiej świadczy fakt, że co trzeci poległ w wyniku ostrzałów wroga, w trakcie bombardowań, pod gruzami wypalonych domów, lub bestialsko zamordowany w trakcie egzekucji. Wikariusz generalny Wojska Polskiego ks. płk Tadeusz Joachimowski – pseudonim „Budwicz" w modlitwie dedykowanej żołnierzom AK napisał: **„Daj mi Boże siłę potrzebną, hart woli i męstwo, abym wykonał rozkazy swoich dowódców i nie splamił honoru żołnierza polskiego"**. Już 1 sierpnia 1944 r. w godzinach porannych, Kuria Polowa AK otrzymała rozkaz do Powstania. Ksiądz mjr/ppłk Stefan Kowalczyk – pseudonim „Biblia" – dziekan Okręgu w przedwojennej siedzibie Polowej Kurii Biskupiej w Domu oo. Palotynów przy ul. Długiej rozpoczął odprawę z udziałem czternastu podległych wicedziekanów i kapelanów obwodów.

Po wydaniu ostatnich rozkazów i poleceń organizacyjnych odmówiono wspólną modlitwę w intencji Powstania. Spowiedź, udzielanie sakramentów poświęcanie sztandarów, odprawianie mszy (niekiedy trzech dziennie), przyjmowanie przysięgi od nowo wcielanych do oddziałów powstańczych, to tylko niektóre z obowiązków podejmowanych przez kapelanów podczas Powstania. Wagę i znaczenie duchowego wsparcia doceniało dowództwo wojskowe, czego dowodem było wydanie przez gen. Antoniego Chruściela – „Montera" w dniu 11 sierpnia rozkazu nr 14 pod nazwą „Zarządzenie Duszpasterskie precyzującego powinności w zakresie pochówków sporządzania odpowiednich dokumentów, warunków udzielania zgody na powstańcze śluby, etc.". Ten duchowy aspekt powstańczego czynu zbyt często nam umyka.
Dzisiaj wiemy, że w świetle ustaleń aliantów z Teheranu i Jałty, ówczesne rachuby politycznego kierownictwa Armii Krajowej nie miały szans praktycznej realizacji, co jakże boleśnie potwierdziło cyniczne przyglądanie się przez sowietów zza Wisły, jak miasto nieujarzmione się wykrwawia oraz brak zgody Stalina, by alianckie samoloty z zaopatrzeniem dla walczącej Warszawy mogły przekraczać linię frontu (po dokonaniu zrzutów) i lądować na jego tyłach, by uzupełnić paliwo umożliwiające powrót do baz, a tym samym uzyskać operacyjną zdolność dostarczenia powstańcom ciężkiego sprzętu, uzbrojenia i amunicji.

Jest więc Powstanie Warszawskie w jakiejś mierze wyrzutem sumienia tych wszystkich, którzy najpierw pozostawili nas samym sobie w roku 1939, potem zdecydowali o przekazaniu Europy Środkowej i Wschodniej sowietom, jako ich strefy wpływów, na koniec wreszcie ograniczyli się do symbolicznego wsparcia Powstania Warszawskiego, by – jak wówczas mawiano – nie drażnić „wujka Joe".

Doceniając zatem intencje autorów tegorocznych obchodów rocznicy Powstania Warszawskiego, którzy motywem przewodnim uczynili koncert pod hasłem „Miłość zawsze jest", wszak do powstania szli w przeważającej mierze ludzie młodzi, warto pamiętać, że czyn i ofiara powstańczej krwi, a także setek i tysięcy cywilnych mieszkańców „miasta nieujarzmionego" wydały wspaniały plon, którym jest wolna, bezpieczna i dostania Ojczyzna. Jesteśmy więc winni im pamięć i cześć, a coraz mniej licznym, schorowanym i często także samotnym, żyjącym jeszcze uczestnikom Powstania, opiekę, pieczę i troskę. Ten aspekt naszej zbiorowej powinności najlepiej definiuje łacińskie zawołanie Gloria Victis – co tłumaczy się jako Chwała Zwyciężonym!

Autor
Maciej Małek